TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 5 (999)
30 STYCZNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

ROZMOWA

TRZEBA CHRONIĆ TRADYCJĘ

Z ANTONIM SZRAMEM, dyrektorem Muzeum Historii Miasta Łodzi, rozmawia KONRAD FREJDLICH

— Muzeum Historii Miasta jest najmłodszą tego typu placówką w Łodzi i może dlatego właśnie nie funkcjonuje jeszcze dostatecznie w świadomości społecznej. Są nawet tacy, którzy w ogóle kwestionują sens jego powstania uważając, że Łódź nie posiada tradycji, które należałoby chronić...

— Trzeba zdecydowanie przeciwstawiać się podobnym poglądom Wynikają one po prostu z nieznajomości przedmiotu. Łódź przemysłowa, choć liczy sobie niewiele ponad 150 lat, jest ogromnie interesującą jako miasto — kolebka klasy robotniczej na ziemiach polskich. Był to proces frapujący, godny pióra wielkiego pisarza czy filmowca Zresztą „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy nakręcona w oparciu o powieść Władysława Reymonta jest tego najlepszym potwierdzeniem. Zachodzi pilna potrzeba, wręcz obowiązek wobec przyszłych pokoleń, roztoczenia opieki nad tym, co możemy jeszcze zachować po całych latach zaniedbań, z cennych wartości wyrosłej na tym gruncie kultury i tradycji łódzkiego okręgu przemysłowego. Dlatego czynimy intensywne starania o środki na zakupy łodzianów oraz o powołanie działów pracy naukowo-badawczej, czyli o jak najszybszą organizację warsztatu naukowego. Nie ograniczymy się zresztą tylko do tego. Naszą ambicją jest objęcie patronatu nad działalnością kulturalną i oświatową w mieście, aby obok historii upowszechniać także możliwie najpełniejszy portret nowoczesnej Łodzi.

— Jak Pan to sobie wyobraża?

— To są sprawy, które należą już nie tylko do sfery wyobraźni, o czym mógł Pan się chyba przekonać odwiedzając nasze Muzeum. Nie mamy niczego do ukrywania. Zwłaszcza, że od samego początku narzuciliśmy sobie bardzo ostre tempo. Było to możliwe dzięki ofiarności pracowników organizujących placówkę od podstaw Tak więc już pierwsze półrocze funkcjonowania wielodziałowego muzeum zapisało się przede wszystkim systematyzacja stanu badań i dokumentacja wiedzy o Łodzi, jej folklorze, przeobrażeniach i przemianach Potrzeba robienia wystaw oraz pogłębionych badań, wydała nam się konieczna w kształtowaniu obiektywnego, socjalistycznego poglądu na dawne stosunki produkcji oraz warunki rozwoju życia mieszkańców kultury, nauki i pracy.

— Miłe złego początki...

Dalszy ciąg na str. 5

PROBLEMY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK POLUBIĆ EKSPORT

Ludzie miewają przyzwyczajenia, ale te przyzwyczajenia skądś się biorą. Większość ludzi na przykład palących „sporty" poszukiwała tych, które zostały wyprodukowane w Radomiu. „Klubowe" natomiast — twierdzą palacze — powinny być z Łodzi. Kiedyś o towarze cieszącym się popularnością mówiło się, że ma „dobrą markę". O fabryce, która wypuszczała na rynek dobry towar mówiło się: — „dobra firma". Kiedyś znak firmowy miał znaczenie decydujące. Dziś jednakże poważnie stracił na swojej wartości.

Dalszy ciąg na str. 3

SZTUKA

MIROSŁAW KUŹNIAK

RAPORT O DUCHACH PASIEKI I DUSZKACH PODWÓRZOWYCH

Na skraju sosnowego lasu stoi drewniana chałupa. Obok stara, podparta drągiem stodoła i jeszcze jeden na poły walący się budyneczek. Na podwórku stadko kur rozgrzebuje błocko, gulgoczą indyki, telepią się w niewielkiej kałuży stopniałego śniegu kaczki. Ucichł wiatr zwykle hulający po lesie, wzniecający śnieżne obłoki na polach.

DIABEŁ W KRZAKACH

To gospodarstwo, jakby przytulone do boku lasu, ośnieżone i ciche, wydać się może patrzącemu z dala tak bardzo podobne do setek, tysięcy innych wiejskich gospodarstw. Wystarczy jednak podejść kilkadziesiąt kroków, a pryśnie poprzednie wrażenie, nie ma rozgdakanego podwórka, pokrzywionej ze starości stodoły, walącej się szopy. W tym miejscu wyrasta natomiast jakby zaczarowany świat ludzików, zwierząt i dobrych duchów. Na przykład płot. Wiejskim płotom nie poświęcono zbyt dużo miejsca w przewodnikach turystycznych i opracowaniach folklorystycznych. A szkoda, bo płot, który otacza to niezwykłe gospodarstwo wart jest osobnego omówienia. Oto niby proste wiejskie sztachety, a przecież każda z nich to wyrzeźbiona w drzewie głowa. Jedna to smutna postarzała twarz wiejskiego dziada, a inna — to uśmiechnięta twarz dziewczyny. Stoją sztachety, nie-sztachety, w karnym szeregu.

Dalszy ciąg na str. 6

KSIĄŻKA

STRATEGIA SENTYMENTALNA

Wzorzec naszego odczuwania poezji kobiecej stworzyła Maria Jasnorzewska-Pawlikowska, a nie cała plejada wcale od niej nie gorszych poetek Młodej Polski. Nieco później przyszła fascynacja twórczością Anny Achmatowej, aż wreszcie spoglądając na dorobek Wisławy Szymborskiej, Urszuli Kozioł, Haliny Poświatowskiej, słynnej niegdyś, dziś nieco zapomnianej Małgorzaty Hillar, wielu skłonnych byłoby sądzić że to, co najlepszego dzieje się w polskiej poezji jest dziełem kobiet.

Zapewne przekonanie to jest do pewnego stopnia złudzeniem. Ale przecież niezupełnie. Od wieków piszący mężczyźni zarezerwowali dla swojej poezji wielkie regiony tematyczne historiozofii, metafizyki, filozofii, polityki. Obecna sytuacja poezji pisanej przez mężczyzn przypomina nieco Baudelairowskiego Albatrosa, wspaniałego ptaka niebios, uwięzionego na pokładzie statku, który nie mogąc swobodnie rozwinąć skrzydeł, śmiesznie i żałośnie podskakuje w zbyt ciasnej dla niego przestrzeni.

Kobiety, od czasów Pawlikowskiej, odnalazły siebie właśnie na terytorium ograniczonym: dom, dziecko, miłość lub fascynacja erotyczna, troska o zachowanie młodości i piękna własnego ciała, teatr uczuć salonowych, starzenie się, pierwsze zmarszczki, utrata kochanka, choroba.

Wrażenie znakomitości poezji kobiecej wywodzi się zapewne bardziej z poczucia braków jej oponenta, męskiej poezji wysokiej, niż z powodu zachodzenia w niej istotnych przemian. Prawdopodobnie także konkretność tej poezji w naszej erze podejrzliwości budzi zaufanie większe, niż nierozpoznana jeszcze do końca, ambicja systemowa poezji filozofującej.

Chwaląc kobiety, nie należy zapominać o poczuciu braku wielkiej poezji, której nieustannie oczekujemy.

Jest jeszcze coś, co budzi zaufanie do poezji kobiet — sprawdzalna sprawność warsztatu poetyckiego. Poeta gotów jest wybaczyć sobie potknięcia stylistyczne, o ile jest przekonany o ważności swego poetyckiego przesłania. Kobieta poetka zwykle nie ma poczucia swojego posłannictwa, wiersz jest najczęściej jej najintymniejszą sprawą, ukrytą pośród tysiąca pochłaniających ją kobiecych problemów, stąd też nie ma nic na usprawiedliwienie swych potknięć. Dlatego też tak często zdarza się, że jest ona poprawniejsza i lepsza na pozór od poezji mężczyzn, choć przecież nie może jej zastąpić.

Nonsensem byłoby traktować powyższe uwagi, jako wyraz przekonania o tym, iż poezja kobiet nie wyjdzie nigdy poza zakreślone przez siebie ramy intymności. Nie wzbraniając poetkom nowych poszukiwań przyjmijmy prywatność ich wierszy, jako konieczny i wdzięczny element naszej kultury literackiej.

W tak zakreślonych ramach, należy pochwalić wiersze Doroty Chróścielewskiej. Jest to dość wyraźnie pamiętnik liryczny. Krąg tematyczny został co prawda już dość dobrze spenetrowany przez poetki dużo lub nieco od niej starsze, jednak o wartości tych wierszy decyduje ich urokliwość, nie zaś zasadnicza odmienność od wszystkiego, co było. Mówię o odmienności zasadniczej, bowiem Chróścielewska wnosi do poezji nieco świeżych pomysłów. Patronują jej zarówno sprawność wierszopisarska Gałczyńskiego, jak i kunsztowność poezji barokowej (J.A. Morsztyn) wraz z jej symboliką i sferą skojarzeniową.

Wprowadzenie elementów metafizyki barokowej do wieszy o niepokojach kobiety, z jednej strony sprowadziło metafizykę do wymiarów pokoju gościnnego lub sypialni, z drugiej zaś pozwoliło pokazać, jak zachowuje się kobiece przywiązanie do konkretu, gdy poprzez miłość do mężczyzny musi zetknąć się z niepojętą dla niej sferą idealną, sferą metafizyki męskiego ethosu. Tutaj pojawia się najciekawszy motyw wierszy Chróścielewskiej — życzliwość wobec tego co niepojęte, strategia współistnienia i przywłaszczania fascynującego wymiaru męskości. Terenem spotkania z Bogiem, owym supermężczyzną, ucieleśniającym w sobie wszystko, co kobiecie pozostanie na zawsze obce, jest wspólne picie wina:

Mój Boże choć nie ciemno
znów pijemy falenno
Ty za mą śmierć niewczesną
Ja za twą nieśmiertelność

W innej wersji ten sam temat ukaże się jako samotność wobec życia w tym, co dla obydwu płci jest najistotniejsze możliwość spotkania mężczyzny z kobietą jest największa w okresie bardzo młodzieńczych fascynacji. Później, wraz z pierwszą zmarszczką, która niszczy zaufanie kobiety do własnej atrakcyjności i siły, dzięki której można zniewolić chłopca, przychodzi poczucie niepewności, klęski. Ekspansywna do tej pory kobiecość wycofuje się na pozycje obronne:

Znów choruję na suknię
z czarnego weluru
I trzeba szminkę zmienić
Muszę puder kupić
Chleb Kakao Doprawdy czy
jest w domu cukier
Doprawdy czy jest cukier
Więc ponieśliśmy klęskę —
to milczy mężczyzna
Trzeba meble odkurzyć —
to milczy kobieta
(Epitalamium ostatnie)

Właściwie cały tomik Chróścielewskiej dotyczy jednego tematu: przemiany dziewczyny w kobietę i chłopca w mężczyznę. Sytuacje zanotowane we wcześniejszych partiach cytowanego już wiersza:

Kobiecy lęk Więc oto
pierwsza zmarszczka Nikła
Jak Betlejemska Gwiazda
Ledwo przeczuwana
Ale jest Jest na pewno
Moja pierwsza śmierć (...)
Dziecko niemal Ten chłopiec
Ten mężczyzna który
bliższy był mi niż skóra
Ten którego mocno
do końca świata Więc
jeszcze przedwczoraj
Wczoraj Mój Boże jeszcze
dziś kochałam
Obcy mężczyzna rozwiązuje
krawat

Obcość chłopca, który stał się mężczyzną — obcość siebie brzydnącej. Symbolem kobiecości owego wieku krytycznego staje się aktorka oklaskiwana na scenie:

Tylko we śnie znowu
warkocz
wśród wysokiej świecący
trawy

Wdzięk młodości, jako arkadyjska kraina kobiety. Wszelkie próby powrotu do tamtej naturalności, nieświadomości zdobywczości, próby odnalezienia w mężczyźnie tego lustra, którym był w latach chłopięcych, tak pięknie odbijającego swoją miłością cały urok dziewczyny. I ta tragiczna z punktu widzenia kobiety świadomość:

Już teraz gdy przed lustrem
depiluję brwi
po żadnej stronie lustra nie
jestem naprawdę

W tym momencie rodzi się cała strategia uczuć kobiecych. Fascynacja mężczyzną i brak wiary w prawdziwość własnych uczuć. Próba uwięzienia go i niewiara w powodzenie tego planu — a więc ucieczka. Spoglądanie w lustro, które jednocześnie ujawnia zmarszczki, ale i pozwala ukryć je pod warstwą pudru.

Kobieta, która uświadomiła sobie groźbę własnej starości, stosuje cały szereg drobnych zabiegów, mających proces starzenia się powstrzymać. I widzi ich daremność. Bojąc się obcości męskiego poczucia klęski nie wierząc, by mogła mu w niej towarzyszyć, sama wybiera się w podróż ku gwiezdnym kresom własnej samotności, z psem tylko, by nagle odnaleźć siebie śmieszną, sentymentalną, z rozmazanym wokół oczu tuszem do rzęs:

I wtulam twarz w sierść
mego psa
aby nie dojrzał innej
gwiazdy,
czarnej jak łza, co spływa
z myth
oczu zbyt mocno
malowanych.

Najciekawszą innowacją wierszy Chróścielewskiej jest znakomite stosowanie rekwizytów poezji metafizycznej dla opisu świata metafizyki kobiecej. Tak znaczące słowa, jak ciemność, światło, Bóg, samotność, śmierć, pojawiają się wśród zwrotów najbardziej potocznych, często przysłowiowych, wśród rekwizytów kobiecej gotowalni. Stają się przez to sprawdzalne i konkretne — śmierć to pierwsza zmarszczka, ciemność to niepewność, czy się jeszcze podoba, samotność to brak wyznań miłosnych i kwiatów, które jeszcze powinien przynosić wpatrzony w jej oczy chłopiec. Z jednej strony więc metafizyka została sprowadzona do psychobiologicznego konkretu, z drugiej jednak pozwala zachowując swoje pierwotne treści dostrzec, jak wielkim przeżyciem dla kobiety jest np. starzenie się.

Nie wiem, czy wiersze Chróścielewskiej będą się podobały kobietom. Zapewne nie będą podobać się chłopcom. Ileż jednak uroku mają dla mężczyzn. Panowie, odłóżmy na chwilę na bok politykę i przyjrzyjmy się sobie w oczach kobiety.

JERZY PORADECKI

Dorota Chróścielewska „Zamykam oczy: czerń". Wydawnictwo Łódzkie, 1976.

INFORMACJE

SUKCES ŁODZIANKI

Na międzynarodowym konkursie skrzypcowym w Zagrzebiu Polskę reprezentowała studentka PWSM w Łodzi Barbara Górzyńska, laureatka Konkursu im. Wieniawskiego, pozostająca pod artystyczną opieką prof. Zenona Płoszaja.

Jury konkursu w Zagrzebiu, pod przewodnictwem światowej sławy skrzypka, Henryka Szeryngа, przyznało łodziance I nagrodę, ex aequo ze skrzypkiem radzieckim, aspirantem Konserwatorium Moskiewskiego.

Barbara Górzyńska otrzymała również specjalną nagrodę przewodniczącego jury za najlepsze wykonanie utworu wybitnego kompozytora meksykańskiego J. Carrillo. Skrzypaczce towarzyszył przy fortepianie Bogusław Pikała. Laureatka odbędzie tournee koncertowe po Jugosławii.

NAJLEPSZE EDYCJE 1976 ROKU

Po raz dziewiąty dwutygodnik „Nowe Książki" zaprezentował 10 polskich książek z zakresu literatury pięknej i humanistyki, które w ub. roku — zdaniem zespołu redakcyjnego i najbliższych współpracowników — były szczególnie godnymi uwagi pozycjami ideowymi, artystycznymi bądź intelektualnymi.

Na liście wyróżnionych tytułów znajdują się następujące pozycje: „Petersburg" Jarosława Iwaszkiewicza (PIW) „Młodość Stefana Żeromskiego" Jerzego Kądzieli (PIW) „Baśnie udokumentowane" Krzysztofa Kąkolewskiego („Iskry") „Katar" Stanisława Lema (Wyd. Literackie), „Człowiek Przyroda, Cywilizacja" Stefana Myczkowskiego (PWN), „Pole niczyje" Zbigniewa Safjana (PIW), „Większy niż król ten książę" Stanisława Szenica (MON), „Wielka liczba" Wisławy Szymborskiej („Czytelnik") „W tajnych drukarniach Warszawy" Michała Wojewódzkiego (PIW), „Plaża nad Styksem" Wojciecha Żukrowskiego.

WYRÓŻNIENIE DLA M. ŁUKOWSKIEGO

Koło Młodych działające przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich przyznało nagrodę redaktorowi naczelnemu Wytwórni Filmów Oświatowych dr Maciejowi Łukowskiemu za konsekwentne ułatwianie startu zawodowego młodym filmowcom. Do nagrody tej kandydowało w ub. roku wielu znakomitych twórców i cenionych popularyzatorów filmu.

EDWARD PAŁŁASZ ZWYCIĘZCĄ KONKURSU IM. FITELBERGA

„Symfonia 1976" Edwarda Pałłasza uznana została przez jury XVIII Konkursu Kompozytorskiego im. Grzegorza Fitelberga za najlepszy utwór nadesłany na jedną z czołowych tego rodzaju imprez w naszym kraju. Katowicki konkurs stawia bowiem przed jego uczestnikami wysokie wymagania, czego świadectwem jest fakt, że dotychczas tylko pięciu twórcom przypadły tu w udziale najwyższe laury.

Nagrodzona w Katowicach „Symfonia 1976" to utwór na dużą orkiestrę, który znalazł doskonałych wykonawców w postaci Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i TV pod dyr. Wojciecha Michniewskiego.

„ZŁOTY GLOBUS" ROKU 1976

Stowarzyszenie prasy zagranicznej przy Hollywood przyznało nagrody „Złotego Globusa" dla najlepszych aktorów filmowych w 1976 roku: Sophi Loren oraz Robertowi Redfordowi.

Robert Redford — aktor i producent filmu „Ludzie prezydenta", przedstawiającego skandal Watergate, otrzymał nagrodę po raz drugi, natomiast Sophia Loren po raz pierwszy.

ZA TYDZIEŃ! TYSIĘCZNY NUMER „Odgłosów"

MUZYKA

ŁÓDZCY KANTORZY

Trzynaście sympatycznych dziewcząt, jedenastu młodzieńców. I szef artystyczny. Twórca świętującego właśnie swój „okrągły jubileusz" zespołu, znakomity chórmistrz i pedagog, długoletni dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej II Stopnia im. St. Moniuszki w Łodzi — Kazimierz Dębski.

Pamiętamy pierwsze ich występy przed dziesięciu laty. Stanowili wówczas reprezentacyjny chór wymienionej szkoły muzycznej, specjalizujący się w wykonywaniu muzyki dawnej. Dziś w skład ansamblu wchodzą studenci i absolwenci łódzkiej PWSM, patronuje zaś mu Łódzkie Towarzystwo Muzyczne.

Przyjęta nazwa „Bel Canto", to zarazem jakby zobowiązująca dewiza artystyczna. Miniony okres działalności zespołu zawierał praktyczną realizację powziętych założeń, przyniósł z sobą tworzenie przekonywających wzorów pięknego śpiewu chóralnego, prezentowanie odbiorcom coraz ciekawszych interpretacji dzieł z różnych epok. Od roku 1970 poszerzeniu uległ zakres repertuaru. Jednocześnie z utworami mistrzów renesansu i baroku zaczęły pojawiać się w opracowywanych programach pieśni klasyczne, romantyczne i współczesne. Osiągnięcie tego rodzaju uniwersalności musiało być oczywiście poprzedzone pracą nad opanowaniem nowych środków wyrazowych, właściwych muzyce poszczególnych okresów. Obecnie „Bel Canto" wykonuje z powodzeniem kompozycje a cappella takich twórców, jak Palestrina, Wacław z Szamotuł, Orlando di Lasso, Gomółka, Monteverdi, Bach, Mozart, Moniuszko, Brahms, Szymanowski, Britten, Krenz, Twardowski. Ma też chór na swym koncie prawykonania dedykowanych sobie utworów napisanych przez współczesnych kompozytorów łódzkich: Bauera, Hundziaka, Mrońskiego, Przybylskiego. Ważną dziedzinę repertuarową stanowią dzieła kantatowo-oratoryjne realizowane wspólnie z Łódzką Orkiestrą Kameralną „Pro Musica" lub Orkiestrą Filharmonii (na jubileuszowy koncert w Filharmonii Łódzkiej 28 i 29 b.m. przewidziano obok utworów a cappella kantatę Bacha „Himmelskönig, sei willkommen" oraz Alleluja z händlowskiego „Mesjasza").

Przypomnijmy, że poza udziałem w imprezach na terenie własnego miasta (Wiosny Artystyczne, Festiwale Organowo-Oratoryjne) chórzyści łódzcy uczestniczyli niejednokrotnie w festiwalach ogólnopolskich a także międzynarodowych. Wymienić można tu przykładowo Łowickie Dni Muzyki, Warmiński Lipiec Muzyczny, Legnicę Cantat, Panoramę XXX-Lecia PRL, Międzynarodowy Festiwal Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach, ponadto zaś obchody XXIV rocznicy utworzenia NRD (występy w Karl-Marx-Stadt w r. 1973). Młodzi muzycy otrzymali przy tych okazjach wiele dowodów uznania, zgromadzili „dobrą prasę". Najczęściej powtarzające się w recenzjach sformułowania dotyczyły czystości intonacyjnej, idealnego pod względem barwy doboru głosów, podkreślały dobrą dykcję, równowagę brzmieniową między poszczególnymi grupami wokalnymi, a nade wszystko — dojrzałość muzyczną.

Szczególnie lubiane i cenione jest „Bel Canto" przez melomanów w rodzinnym mieście. Szkoda, że ten bezinteresownie i z zapałem pracujący zespół (społecznie działa tu nb. także i dyrygent) w ostatnim okresie koncertował w Łodzi tak rzadko. A przecież mimo, iż Filharmonia Łódzka dysponuje już własnym chórem i jest samowystarczalna w dziedzinie odtwarzania mszy, kantat i oratoriów (orkiestra „Pro Musica", z kolei, już nie istnieje) — to jednak nie ma chyba przeszkód, by w lokalnym kalendarzu imprez znalazło się nieco więcej miejsca dla łódzkich cantores i prezentowanych przez nich arcydzieł chóralnej muzyki a cappella.

JANUSZ JANYST

Uwaga Czytelnicy! Jeszcze do 15 lutego można nadsyłać kupony na nasz plebiscyt pn. „Łodzianie 1976".

Przypominamy zasady głosowania. Na kuponie należy nakreślić znak X obok TRZECH NAZWISK typowanych przez siebie kandydatów do miana „Łodzianina 1976".

Wśród głosujących Czytelników rozlosowane zostaną nagrody w postaci bonów towarowych o wartości:

I nagroda — 2500 zł
II nagroda — 1500 zł
III nagroda — 1000 zł

oraz pięć wyróżnień książkowych.

Wypełnione kupony prosimy przesyłać na adres naszej redakcji, z dopiskiem na kopercie: „Łodzianie 1976".

KUPON

Janusz Dunin . . . . . .
Andrzej F. Grabski . . . . . .
Tomasz Kiesewetter . . . . . .
Grzegorz Królikiewicz . . . . . .
Mieczysław Nowicki . . . . . .
Urszula Płażewska . . . . . .
Henryk Płóciennik . . . . . .
Jerzy Przybylski . . . . . .
Igor Sikirycki . . . . . .
Teresa Skoczylas . . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .
Zawód . . . . . .

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

JAK POLUBIĆ EKSPORT

Dalszy ciąg ze str. 1

Moi znajomi postanowili wymienić sobie lodówkę. W naszym życiu handlowym występują bowiem dwa równoległe zjawiska. Jedni dopiero się urządzają i kupują na tyle, na ile ich stać. Inni — ci, którzy już się byli urządzili — w miarę upływu czasu dokonują wymiany. Wymienia się lodówki, radia, telewizory, samochody. Zamienia się mieszkania, zmienia się umeblowanie. Podnosi się standard wyposażenia. W trakcie tego szuka się wyrobów wyższej jakości. Tak więc moi znajomi postanowili wymienić sobie lodówkę. Porodowym podziale pracy. Taki podział pracy jest korzystny dla wszystkich partnerów RWPG, jako że sprzyja specjalizacji, pozwala doskonalić te dziedziny wytwarzania, w których osiągnęliśmy wysoki poziom i w których mamy dalsze możliwości rozwoju.

Jeśli chodzi o eksport do krajów kapitalistycznych, to ma on w 1977 roku wzrosnąć o 18 proc., przy utrzymaniu importu na poziomie z ubiegłego roku. Taki układ zadań w handlu zagranicznym wynika z naszego bilansu płatniczego, gdyż poprzez rosnący eksport do krajów kapitalistycznych powinniśmy uzyskać środki finansowe na spłacenie zaciągniętych pożyczek. A za te pożyczki przecież wybudowaliśmy nowoczesne fabryki, które mają dać nowoczesny produkt, poszukiwany nie tylko na naszym rynku. Warto przy tym też pamiętać, że procesy zachodzące na światowym rynku nie pozostają bez wpływu i na naszą sytuację gospodarczą. Niektórzy specjaliści od handlu zagranicznego spodziewają się stopniowego ożywiania koniunktury na rynkach zagranicznych, a co za tem idzie i wzrostu popytu na towary przez nas eksportowane. Inni uważają, że czas koniunktury jest jeszcze dość odległy, trzeba będzie więc na nią poczekać, a to spowoduje duże trudności ze zrealizowaniem założonego wzrostu eksportu.

Na niedawnej naradzie aktywu partyjno-gospodarczego premier **Piotr Jaroszewicz** powiedział między innymi:

„We współczesnym świecie rozwijać się mogą tylko te kraje, które w międzynarodowym podziale pracy zapewnią sobie mocną pozycję i które potrafią operatywnie przystosować swoją produkcję do zmiennych, nie zawsze sprzyjających warunków na światowym rynku. I my musimy się tego szybko nauczyć, pod takim właśnie kątem ustawiać potencjał gospodarczy w tym duchu wychowywać kadry".

Jest to zadanie nie od dziś stawiane przed producentami, ale jeśli nawet nie jest to nowe zadanie, to nowe są warunki, w jakich się to zadanie przypomina. Dzięki bowiem rozwiniętemu importowi techniki i technologii w ostatnich latach powstała baza produkcyjna, która pozwala sprostać nowym zadaniom i pozwala szybko dostosowywać się do zmiennej koniunktury na zagranicznych rynkach. Ale my jeszcze nie potrafimy w pełni tę bazę wykorzystywać.

Usłyszałem niedawno opinię, że handel zagraniczny powinien sprzedawać to, w czym się niektórzy wytwórcy specjalizują. Jest to typowa opinia producenta, który przyzwyczaił się do nieliczenia się z rynkiem. W moim przekonaniu handel zagraniczny powinien sprzedawać to, na co jest popyt na rynkach zagranicznych, a producent powinien być przygotowany do podjęcia się takiej produkcji. Rynek zagraniczny ma bowiem inne wymagania niż rynek krajowy i producent powinien o tym wiedzieć.

NIE POTRAFIMY JESZCZE LICZYĆ SIĘ Z WYMAGANIAMI ZAGRANICZNYCH KLIENTÓW. Nie zawsze potrafimy myśleć w kategoriach rynku zagranicznego. Słyszałem o przykładzie, kiedy zagraniczny kupiec postawił warunek określonego sposobu pakowania towaru, gdyż dysponował wysoce zmechanizowanym magazynem. Ale dla naszego producenta nie był to istotny warunek, jako że nasze magazyny w znacznej mierze są po prostu dziewiętnastowiecznymi składami. Zapakowano więc towar na widzimisię producenta i wynikły reklamacje, trzeba było płacić kary umowne za niedotrzymanie warunków. Niby drobiazg, ale zła opinia o producencie pozostała.

Albo inny przykład. Zagraniczny kupiec bierze skafandry z zamkami błyskawicznymi, które nie są najlepszej jakości. Wymienia je we własnym zakresie, ale kosztami obciąża producenta. A są to koszty liczone w dewizach. Nie osiąga się więc planowanego zysku. Produkując buble — produkuje się straty.

Jeszcze inny przykład. Unowocześniając gospodarkę, modernizując fabryki, tworzymy coraz wyższy stopień podziału pracy. Fabryki specjalizują się, rozwija się kooperacja i jest to proces naturalny. Tylko, że w tym naturalnym procesie muszą wszystkie ogniwa pracować na jednakowym, wysokim poziomie. Zagranicznego odbiorcę nie obchodzi to, czy „finalista" — czyli ten, który odpowiada za produkt finalny — ma jakiekolwiek kłopoty z kooperantami i czy każdy z kooperantów wykazuje się jednakową solidnością. Zagraniczny odbiorca bierze gotowy produkt do oceny i albo godzi się nań albo rezygnuje. A jeśli rezygnuje, to trzeba mu zapłacić odszkodowanie.

NAJWAŻNIEJSZYM ZADANIEM 1977 ROKU JEST TROSKA O WYSOKĄ JAKOŚĆ PRODUKCJI. Dotyczy to zarówno produkcji kierowanej na rynek krajowy, jak i na eksport. Funkcjonuje u nas przekonanie, że produkcja eksportowa jest wyższej jakości, staranniej wykończona, otaczana wyższą troską. Jestem przeciwny takiemu traktowaniu produkcji i to przede wszystkim ze względów psychologicznych i to przede wszystkim ze względu na samego wytwórcę.

Zagraniczny odbiorca stawia wytwórcy określone wymagania, w przemyśle lekkim na przykład dotyczące wzornictwa, i to jest naturalne. Bardzo często te wymagania nie odpowiadają odbiorcy krajowemu i już choćby dlatego produkcja na eksport musi być niemal w całości „trafiona", bo inaczej „eksportowych braków" nie da się sprzedać na krajowym rynku. Ale z drugiej strony producent popełnia te same błędy zarówno przy produkcji na zamówienia krajowych przedsiębiorstw handlowych, jak i zagranicznych. Na przykład w przemyśle lekkim są to zabrudzenia, niewłaściwe wybarwienia i inne braki, których można uniknąć przy bardziej precyzyjnej i dokładniejszej, a co za tym idzie surowszej kontroli jakości.

W PABIANICKIM „PAMOTEXIE" — wielkim producencie tkanin bawełnianych — w 1975 roku zapłacono 19 mln zł kar umownych, a w 1976 roku — 11 mln zł. Zapłacono je przede wszystkim za złą jakość. W programie poprawy jakości w „PAMOTEXIE" zasadniczą uwagę zwrócono przede wszystkim na sposoby usunięcia podstawowych wad: zabrudzeń, niedokładnych wybarwień, błędów w przędzeniu. A pabianicki „PAMOTEX" jest tu tylko przykładem. Takie braki „produkują" i inni. Poza tym obok braków powstających w produkcji, a wynikających z niedbalstwa, wadą wielu producentów jest nieterminowość dostaw, nie przestrzeganie warunków umowy. A to wszystko ma taki sam skutek: podrywa zaufanie.

BRAKOROBSTWO, PRODUKCJA BUBLI MUSI SIĘ NIE OPŁACAĆ. Niedawno w „Życiu Warszawy" **Władysław Kolberski** proponował, aby za braki stwierdzone w toku produkcji obciążać w określonym procencie fundusz płac załogi, a za kary umowne, naprawy gwarancyjne, za braki wykazywane przez handel — fundusz kontroli technicznej i kierownictwa przedsiębiorstwa. Producent powinien we własnym zakresie szukać skutecznych form poprawy jakości, traktując to jako zadanie długofalowe, ale tym nie mniej pilne.

ŁÓDZKA INSTANCJA PARTYJNA poświęciła swoje ostatnie posiedzenie sprawom eksportu, zwracając uwagę producentów, że do 1980 roku eksport powinien wzrosnąć o około 75 proc. Cały ciężar realizacji tego zadania spoczywa na przemyśle lekkim województwa miejskiego łódzkiego, jako że eksport tego przemysłu w tym czasie powinien wzrosnąć dwukrotnie, a do krajów kapitalistycznych nawet trzykrotnie. Jest to zadanie poważne, trudne, ale realne tym bardziej, że łódzki przemysł lekki modernizuje się nadal, dysponując już w znacznej swojej części nowoczesną techniką i technologią. Trzeba teraz po prostu nauczyć się dobrego wykorzystywania tej techniki aby móc nie tylko sprzedawać to, w czym się fabryka specjalizuje, ale i to — i to przede wszystkim to — co jest poszukiwane na rynku krajowym i na rynkach zagranicznych.

„Mamy — mówił na wspomnianej już naradzie Piotr Jaroszewicz — **generalnie rzecz biorąc, dobre doświadczone kadry. Możemy i musimy wymagać od nich coraz więcej, przede wszystkim nowego pod wieloma względami stosunku do pracy, zwalczania partykularyzmu, umacniania dyscypliny i wzmożonego poczucia odpowiedzialności..."**

Mamy wszystkie warunki, aby pracować dobrze.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

RZECZ O MICHALE ŁUNINIE

Autor „Wojny i Pokoju" napisał kiedyś: „Miałem możność widzieć powracających z Syberii dekabrystów, znałem też ich kolegów i rówieśników, którzy zdradzili ich i pozostali w Rosji korzystając z wszelkich zaszczytów i bogactwa. Dekabryści którzy wiedli na katordze i wygnaniu życie duchowe, wrócili po trzydziestu latach jako ludzie dziarscy, mądrzy, pełni radości, ci zaś, którzy pozostali w Rosji i spędzili życie na służbie, obiadach, kartach — były to żałosne, nikomu niepotrzebne ruiny, nie mające nic dobrego o swym życiu do wspominania". Nie chodzi nam o wpisaną w ten tekst indywidualną filozofię wielkiego pisarza. Lew Tołstoj widział w dekabrystach moralnych zwycięzców nad systemem samodzierżawia, ludzi którzy mężnie znieśli prześladowania i umocnili się w nich duchowo. Może zwycięstwo to nie było udziałem wszystkich spośród spiskowców, skoro wielu z nich załamało się w śledztwie lub później, z pewnością jednak odniósł je podpułkownik lejbgwardii z Grodzieńskiego Pułku Huzarów, stacjonującego w latach dwudziestych XIX w. w Królestwie Polskim, adiutant Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowicza — Michaił Łunin. Postać jego stała się już za życia symbolem. Niewiele wiedziano o prawdziwych kolejach jego katorżniczego losu, ale pamięć o rosyjskim rewolucjoniście nie wygasła. Zarówno wśród Rosjan, jak i Polaków, z którymi M. Łunin utrzymywał rozliczne stosunki. Kiedy w pierwszych latach Wielkiej Emigracji polski demokrata Leon Drewnicki pisał utwór dramatyczny, w którym zawarł ideę rewolucyjnej współpracy narodów polskiego i rosyjskiego, spoglądał na rosyjski korpus oficerski przez pryzmat doświadczeń dekabrystów, a nie ich prześladowców. Jednym z bohaterów swego utworu uczynił właśnie M. Łunina. Jeszcze w wiele lat później polskie piśmiennictwo będzie się żywo interesowało losami dekabrysty. Uczestnik powstania styczniowego, potem zesłaniec w Akatuju gdzie spotkał się z M. Łuninem, Władysław Czaplicki opublikował w 1869 r. wstrząsającą relację o okolicznościach śmierci rosyjskiego patrioty. Podług tej opowieści miał on zostać zamordowany przez pewnego oficera, działającego z polecenia samego cara. Okoliczności zgonu M. Łunina, który nastąpił 3 grudnia 1845 r., jeszcze i dziś nie przedstawiają się zupełnie jasno. Wśród współczesnych krążyły najrozmaitsze pogłoski, które historycy starają się po dziś dzień krytycznie zweryfikować. Oficjalnie M. Łunin zmarł na udar mózgu, jak jednak było rzeczywiście — o tym z niepodważalną pewnością trudno doprawdy powiedzieć. W każdym razie hipoteza, że M. Łunin został zamordowany, nie jest i dziś wykluczona.

Lot z Czyty na południowy wschód do Borzi — pisze radziecki badacz życia i działalności M. Łunina Natan Ejdelman — trwał prawie godzinę. Potem jeszcze półgodzinna podróż do kopalni aleksandrowskiej i droga przypadkowym autobusem, 12 kilometrów na północ do Akatuju. „Idę w stronę wielkiego prostokąta kamiennych murów — w pobliżu drogi, pomiędzy dwoma Akatujami. Mury są grube, nieprzyjemnie białe, wewnątrz mieści się garaż — warczą samochody, na zewnątrz duża tablica: „Pozostałości murów byłego akatujskiego więzienia dla katorżników. W więzieniu przebywali: dekabrysta M.S. Łunin, polscy powstańcy, narodowolcy, marynarze z transportu „Prut", Kurnatowski i inni. Więzienie zbudowano w roku 1832. Zamknięto w 1917 roku". Na pobliskim cmentarzu pośród starych i nowych grobów bieleje biały pomnik z krzyżem. Wystawiła go bratu siostra M. Łunina, Jekatierina Uwarowa...

Książka Natana Ejdelmana: „Łunin — adiutant Wielkiego Księcia Konstantego" wydana właśnie w doskonałym tłumaczeniu Wiktorii i René Śliwowskich (PIW 1976) jest eseistyczną biografią dekabrysty. Radziecki autor starał się odtworzyć szczegóły jego życia w oparciu o skrupulatną kwerendę źródłową, która objęła również — niezmiernie owocne dla problemu — wciąż mało wykorzystane materiały zachowane w zbiorach syberyjskich. System carskiej biurokracji pozostawił po sobie moc papierów: jedyną jego zaletą było, że zapisywano w nich również to, co carat chciał jak najskrzętniej ukryć. N. Ejdelman prezentuje czytelnikowi pogłębiony psychologiczny portret bohatera, człowieka który nie tylko się nie załamał, ale okrzepł i utwierdził w swych przekonaniach wówczas, kiedy spadały nań coraz bardziej dotkliwe prześladowania, człowieka o wysokiej kulturze i zaprawdę ogromnej sile charakteru.

ANDRZEJ F. GRABSKI

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

NIESKOŃCZONY LOT NAD BABILONEM

(FRAGMENT)

Dnia 1 sierpnia
zaopatrzony w trzydzieści lat życia
tomik wierszy studia (bez dyplomu)
4.000 złp.
oraz w dwie butelki wina krajowego
w pobliskim Supersamie
zdążałem do okolicznej bramy
(dwa wina po 30 zł w upał
które to określenie urzekło kiedyś
mojego przyjaciela)
nie poczuwałem się do żadnych zobowiązań
i obce mi były wszelkie rodzinne powiązania
za rogiem ulicy nieznajomy
przypalał papierosa śmierć podawała ogień
anioł z diabłem grał w klasy
o ludzkie dusze
niezręcznie popychając czubkiem stopy
kapsel od butelki piwa
Dobrotliwa Wieczność ucinała właśnie poobiednią drzemkę
wszystkie bramy świata stanęły przede mną otwarte
i jakże łatwo było wyruszyć
po raz enty
na kolejny podbój świata

☆ ★ ☆

być
to w brzęczeniu trzmiela i w przestrzeni całej
mieści się
w igle sosny i w nieskończoności
stwarzać
człowieka w sobie i nieznane byty
pisać
pamiętnik serca i kronikę świata

PIERWSZA NAIWNA

Mieć 22 lata
i nie przeżyć nawet
swojej pierwszej wielkiej miłości
Spać z tranzystorem przy uchu
zamiast słowika
Słowo park
kojarzy się jej z dzieckiem
i placem zabaw
nad którym nigdy nie zapada
ten jedyny uroczy zmierzch
A potem szuka zapomnienia
dziecko śpi już
i tylko ono nie potrzebuje
ani grama światła
Wygładza swoje ciężkie ciemne włosy
i wkracza w świat, który tak niedawno
był dla niej światem
zamkniętym
Tam spotka
przeznaczenie
niewiernego kochanka
i miłość która ją przeżyje

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

TĘDY JA SZEDŁEM

tędy ja szedłem kiedy szedł błazen
podziwiany przez wszystkich i dlatego głupi
albowiem zapalając papierosa
to wieczne światło zapalałem — obecne tylko w ciemności

jak już nieobecni
i jak tamta kobieta, która zwróciła na mnie uwagę
bo była na pewno chora w tym stroju
żałobnym

nie odróżniam błazna od siebie
nie wstydzę się bezradności
bo tak pewnie szedłem

matka jak zawsze zdziwiona
ojciec proponuje mi partię szachów
i dzielą nas dwaj odmienni królowie

tędy ja szedłem kiedy szedł błazen
a mówicie że nie ma tej drogi na żadnej z map

— o ileż ciężej idę

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Syreny budzą się...

Naciskam dzwonek. Ilona nie otwiera mi drzwi. Więc dzwonię ponownie. Słyszę jej wołanie: — Otwarte! — wchodzę do środka. Z łazienki dobiega szum wody spływającej z prysznica. Siadam na kanapie w większym pokoju, który Ilona nazywa żartem salonem recepcyjnym. Wkładam kwiaty do wazonika. Na stole stoją dwie filiżanki i półmiseczek z kruchymi ciastkami — przygotowane na moje przyjęcie. Biorę bezmyślnie jedno i zaczynam je chrupać. Równocześnie zdaję sobie sprawę, że wcale nie mam ochoty na ciastko. To głupie, ale każdorazowo przekraczam próg mieszkania Ilony z tremą. Nigdy nie wiem jakie mnie spotka przyjęcie, czy będzie dla mnie łaskawa, czy zagniewana. Albo jeszcze gorzej: może być znudzona lub śpiąca. A kiedy jest śpiąca, nie ma na nią siły.

Drzwi łazienki otwierają się i Ilona wchodzi do pokoju. Ma na sobie czarne szerokie spodnie z cieniutkiego materiału i głęboko dekoltowaną frotową bluzkę odsłaniającą jej plecy, ramiona i część piersi. Lubię, gdy na moje przyjście wkłada tę bluzkę i ona o tym wie. Mogę więc liczyć, że dziś będzie dla mnie miła. Na głowie ma ręcznik zawinięty w turban. Przysiada się do mnie i podaje mi z uśmiechem policzek do pocałowania. Pachnie dobrym mydłem, jest rozgrzana.

— Naszła mnie nagle chętka na kąpiel — mówi tonem wyjaśnienia — ale wiedziałam, że zaraz przyjdziesz, więc nie zamknęłam drzwi, żebym ci nie musiała otwierać nago.

Przygarniam ją mocno do siebie, wodzę ustami po gładkiej skórze, jej ramion i pleców. Znosi to bez oporu, więc nabieram odwagi. Teraz odpycha mnie niezbyt mocno, ale zdecydowanie.

— Przywitałeś się? To nalej herbatę. Już zaparzona. Daj spokój — ucina moje próby przedłużenia pieszczoty — Marzę o herbacie.

Wieczór zaczyna się niby dobrze, a przecież jest coś upokarzającego w tych moich kradzionych karesach, w pocałunkach składanych w pośpiechu, w obawie, że każdy może stać się z jej woli ostatnim. Popychany przez nią odrywam się z trudem od jej gorącego ciała i zwlekam z kanapy. Gdy nalewam herbatę do filiżanek, ręce mi drżą, kręci mi się w głowie. Jak u nałogowca w stanie głodu alkoholowego, któremu odebrano wódkę sprzed ust. Wódka! Dobrze, że mi przyszła na myśl. Muszę zaproponować Ilonie. W podnieceniu alkoholowym rośnie jej pobudliwość. Wracam więc do pokoju i starając się nadać swemu głosowi ton możliwie naturalny, mówię:

— A wiesz, wypiłbym dzisiaj kielicha. Co ty na to?

Ilona jest niezdecydowana, ale nie odmawia. Poprawia właśnie przed lustrem swój fantazyjny turban.

— Nie wiem, czy coś znajdziesz w lodówce. Źródełko wyschło.

— Jeśli tylko pozwolisz, skoczę na dół do supersamu — wypowiadam głośno, a w myśli mówię sobie: — Byle tylko nie rozszyfrowała moich intencji. Jest tak piekielnie bystra. — Ale nie. Wydaje się nie podejrzewać mnie o nic.

— Idź — zezwala łaskawie. — Tylko przynieś coś dobrego. Może będzie krupnik albo starka. Napijemy się, a potem ja postawię kabałę. Dziś piątek.

Uszczęśliwiony kradnę jej jeszcze jeden pocałunek w ramię i zjeżdżam windą na dół. Z dziesiątego piętra trwa to dość długo, bo winda jest starej konstrukcji i nie ma przyspieszenia. Pomaga mi to trochę ochłonąć. W supersamie jak na złość dużo kupujących. Stoję więc cierpliwie i walczę z wrażeniem, że ludzie w kolejce przyglądają mi się i to jakoś dziwnie. Pewnie wszyscy mieszkają w tym osiedlu i nawzajem dobrze się znają, ale mnie się wydaje, że odgadują wszystko. Starszy pan czeka przy ladzie na wódkę. Kupi ją i pobiegnie uprawiać miłość z dziewczyną, która mogłaby być jego córką. Nawet wydaje mi się, że ktoś za mną uśmiecha się ironicznie. Odwracam się gwałtownie, ale wszyscy mają poważne twarze. Może zdążyli ukryć uśmiech. Jest starka, więc biorę ją i jakieś konserwy, choć wiem, że Ilona przy wódce prawie nic nie je.

Zastaję ją w trakcie suszenia i rozczesywania włosów.

— Dostałeś? — rzuca mi przez ramię uśmiech.

Odstawiam zakupy i podchodzę do dziewczyny. Obie ręce ma zajęte, więc wykorzystuję to i znowu całuję jej kark i plecy. Otrząsa się jakby odpędzała muchę. — Nie przeszkadzaj. Łaskoczesz. Lepiej rozlej wódkę. — Wykonuję jej polecenie i czekam aż skończy. Rozmowę utrudnia kąśliwe brzęczenie elektrycznej suszarki wypełniające pokój. — Wybacz, jeszcze chwilkę — Wreszcie jest gotowa. Włosy ma już suche, jak zwykle prosto opadające w dół.

— Jak ci się podobam? —pyta figlarnie.

— Jesteś bardzo sexy.

— To jedno masz w głowie. No, nie zapraszasz na biesiadę?

Lokuje się koło mnie na kanapce i podnosi kieliszek.

— Za pomyślny wynik dzisiejszej kabały.

Prawda! Dziś ma być kabała. Dawniej dziwiłem się, że mądra dziewczyna tak bez reszty wydaje się wierzyć we wróżby. Ale ona kładzie karty w intensywnym skupieniu, odczytuje z nich przyszłe losy z taką sugestywnością, że mimo woli wciągam się w tę grę i z niepokojem oczekuję, jakie wynikną układy.

— Ty jesteś waletem kier — ilekroć to mówi cieszę się. Mogłaby jako moją kartę wybrać brodatego króla. Układanie kabały przynosi mi dodatkowy profit. Siadam obok Ilony bardzo blisko, swoim udem czuję całą długość jej uda, jej ramię opiera się o moją pierś. Nasze dłonie krzyżują się raz po raz nad stołem, mogę przy okazji przekładania talii kart przytrzymać jej palce, uścisnąć lekko. Jeżeli w dotykaniu jej ciała i pieszczotach zachowuję pewien umiar, to nie spotykam się z przeciwdziałaniem. Dziewczyna jest tak skoncentrowana, że wydaje się nie dostrzegać moich poczynań. Roztargnionym ruchem odsuwa tylko lekko moje dłonie, gdy stają się zbyt natrętne, sięgając w głąb dekoltu. Co jakiś czas sączy wódkę z kieliszka, który ja potem dopełniam.

Przypominam sobie, że dzisiaj przyniosłem jej oprócz kwiatów jeszcze inny upominek. Kilka starannie wyszukanych barwnych reprodukcji nowoczesnego malarstwa.

— Czy czarownica zechce na chwilę wstrzymać się z kabałą i dla lepszego wprowadzenia się w trans telepatyczny obejrzeć zawartość tej teki? — pytam.

Nie byłaby kobietą, gdyby ciekawość nie wzięła góry nad skupieniem. Znam jej gust, wiem, że przepada za określonym typem malarstwa. Reprodukcje ułożyłem więc w pewnej gradacji, która powinna nasilać jej wrażenia. Jako pierwszy pokazuję gwasz Chagalla nazwany przez artystę „Kwietna martwa natura". Tytuł sugerujący pewną stabilność, niezmienność trwania, nie odpowiada istotnej treści obrazu. Wprawdzie bukiet barwnych kwiatów w wazonie wysunięty jest na plan pierwszy, zajmując większą część płaszczyzny obrazu, ale bynajmniej nie wyczerpuje treści malowidła. Na drugim planie, w głębi, umieścił Chagall parę zakochanych, splecionych czułym uściskiem. W tym zestawieniu kwiaty tracą swój sens dosłowny, stają się projekcją uczuć kochających się ludzi. Zawierają w sobie tkliwość, radość z wspólnego oglądu świata, są jak wzniesiona do góry hostia w mszy odprawianej przez kochanków ku czci życia oraz miłości, będącej gwarantem jego odradzania się.

Podsuwam Ilonie ten obraz z cichą nadzieją, że może doczyta się w nim moich uczuć do niej, przekazywanych aluzyjnie za tym pośrednictwem. Ale to się stać nie może. Mowa kwiatów u Chagalla, ten hymn radosny, skomponowany jest na dwa głosy, na harmonijne unisono, nie na śpiew solowy. „Kwietna martwa natura" nie ma szans stać się eksponentem nierównego związku uczuciowego między mną i Iloną, związku, w którym stroną dającą jestem wyłącznie ja.

— Nie przepadam za Chagallem — krzywi się Ilona — Jest coś mdłego w tych powielanych, makietowych kochankach. Pokaż co masz tam dalej.

— „Abenteuererschiff" Paula Klee — mówię odsłaniając kolejną reprodukcję. — Oryginał jest w bawarskich zbiorach malarstwa w Monachium. Namalowany w 1927 roku.

Ilona przygląda się obrazowi z powagą, z lekko zmarszczonym czołem. Po chwili przenosi wzrok z reprodukcji na mnie.

— W tym coś jest — prawie szepcze. — Nie bardzo umiem sformułować swoje wrażenie. Powiedz mi coś na ten temat.

Nie jestem szczególnym znawcą sztuki, ani nie przygotowałem się na taką ewentualność. Przyglądam się obrazowi przez dłuższą chwilę, nim zacznę mówić:

— Na pierwszy rzut oka można by przypuścić, że to malowało dziecko. Popatrz na tę nieskomplikowaną linię obrysowującą sylwetę statku, żagli, komina. Albo te prymitywne figurki kapitana z szablą sterczącą u boku, sternika, czy członków załogi. Ale przypatrz się lepiej zestawieniu barw, konsekwencji przestrzeganej w stosowaniu tych naiwności. Potraktuj obraz jako całość. Czy nie emanuje z niego poezja? A postaci awanturniczej załogi z tymi czerwonymi pióropuszami wytryskującymi jak fontanny z ich głów... Czy nie są wspomnieniem postaci zaludniających nasze sny?

— Masz rację. Jeżeli wyobraźnia ludzka jest kłębkiem splątanych nici, to Klee wysupłał z niego koniec jednej nitki, wyciągnął ją i skonstruował z niej jak z pajęczyny ten swój ażurowy statek. Tak, to był jego budulec. Ciekawe dokąd ten statek płynie. Widzisz strugi wody wytryskujące spod kadłuba jak spiralnie skręcone warkocze? To znak, że oni płyną bardzo szybko, że się spieszą. Dokąd?

— Spróbuj odpowiedzieć sama, bo mnie nic mądrego nie przychodzi na myśl.

— Ja bym to określiła tak. Spieszę się, bo życie tworów wyobraźni jest ulotne, krótkie jak żywot motyli. Więc oni nie mają wiele czasu. A płyną w poszukiwaniu przygody, czyli donikąd. Kierunek mają bardzo określony, tylko że cel, jaki sobie postawili, nie istnieje. Ale oni o tym nie wiedzą i dlatego są szczęśliwi i raźni uwijają się po drabinkach i mostkach.

— Bravo! — wołam i całuję ją — Twoja interpretacja jest poetycka i imponująco prosta. Oni rzeczywiście płyną donikąd. A że niewiele się tym przejmują, więc sternik odwrócony jest plecami do kierunku jazdy. Ale skoro jesteś taka bystra, to mam dla ciebie jeszcze jeden rebus. Bodaj trudniejszy. To olej Maksa Ernsta z 1960 roku.

— Max Ernst. To nazwisko mi coś mówi. Czekaj, mam tom poezji André Bretona z ilustracjami Ernsta. Ten sam?

— Zapewne.

Ilona bierze do ręki reprodukcję obrazu utrzymanego w intensywnych barwach i przygląda się jej długo w milczeniu.

— Jak się nazywa ten obraz?

— Teraz ci tego nie powiem, bo tytuł rozszyfrowuje w pewnym sensie metaforę. Próbuj domyślić się sama.

— Więc dobrze — zaczyna powoli, a w miarę mówienia ożywia się stopniowo. — Najpierw spróbujmy skatalogować elementy. Dolna część obrazu w różnych odcieniach granatu, przechodzącego miejscami w błękit, to ziemia, po której stąpamy, skąpana w mroku nocy. Tutaj na samym dole pośrodku umieszczona ze względów kompozycyjnych plama lilaróż, ale przytłumiona, poprzerastana błękitem, ledwie rozjaśniająca tę część przestrzeni. Górna płaszczyzna to oczywiście niebo. Tylko dlaczego zielone? Jeszcze nie wiem... Na tej zieleni nieco nieforemny złotożółty krąg. Planeta, albo raczej meteor, bo odnoszę wrażenie, że jest w ruchu. Tak! Leci prosto na nas i to szybko. Zwróć uwagę na to, że za swoją tarczą wlecze z lewej strony i u góry żółte refleksy. One wyznaczają optycznie kierunek jego biegu wprost na oglądającego obraz. To wywołuje dreszcz, ale nie dreszcz grozy. Raczej fascynacji. A wracając do szmaragdowego nieba... Może wyjść od strony technicznej tego efektu. Ciemnobłękitna farba, położona na dole obrazu, razem z żółcią pocisku kosmicznego da w wymieszaniu właśnie tę zieleń. Tu musi kryć się klucz zagadki. Ernst świadomie miesza dwie wartości, by otrzymać trzecią. No, co ty na to?

— Jak dotąd jesteś wspaniała! Intuicja doprowadziła cię w sam węzeł tematu.

— A więc pozwól mi jeszcze chwilę pomyśleć... Zderzenie mrocznej ziemi z fosforyzującym światłem z tego poruszającego się korpusu daje w sumie trawiastą zieleń nieba. Materia z dodatkiem światła wytwarza trzecią wartość — na twarzy Ilony maluje się radość odkrywcy, któremu w oddali zamajaczy skrawek lądu. Zwraca twarz w moją stronę i zapytuje jak w zabawie dziecięcej: — Ciepło?

— Bardzo ciepło — odpowiadam— Ułożyłaś coś w rodzaju fizycznego wzoru. M (materia) plus L (lux) równa się X. To „X" jest syntezą, do której artysta zdąża.

— Przemówił przez ciebie człowiek z wykształceniem ścisłym. Ale zgoda! Niech będzie twoje M plus L. Ale X należy do mnie. To metafizyka, magia, coś nie ogarnionego przez ludzki rozum, czego nie da się zaszufladkować, bo ono nie ma ciężaru właściwego ani wymiernej ilości jednostek energii. To coś zrodziło się z nocy i rządzi właśnymi, pozafizycznymi prawami. A teraz powiedz szybko, jak Ernst nazwał ten obraz.

— „Die Sirenen erwachen, wenn die Vernunft schlafen geht".

— Przetłumacz.

— „Gdy rozum zasypia, budzą się syreny". Parafraza Goyi.

Ilona aż klasnęła w dłonie.

— A widzisz! O to mi właśnie chodziło. O wyłączenie w pewnym momencie kryteriów rozumowych. Świat empirii niech sobie czeka do rana. Z mroku nocy wyłaniają się nimfy. Ale nie powiedziałam ci najważniejszego. Ja jestem taką boginką nocy. To o mnie jest ta zieleń w tym obrazie. Należy ci się, Erneście, specjalne podziękowanie za wybór tej reprodukcji.

Bierze moją głowę w obie dłonie i wpija się wargami w moje usta. Odczuwam bolesną rozkosz. — Wampirzyca — przemyka się myśl. — Opętała mój rozum, jak śpiew syren uwiódł towarzyszy Odyseusza. A teraz wyssie ze mnie krew.

Pocałunek jest długi, ale urwany nagle. Ilona nadal nie dozwala dalszych pieszczot. Wypijamy po jeszcze jednym kieliszku. Czuję podniecenie, palą mnie policzki.

— Czymś ci się zrewanżuję, nim wrócimy do kabały.

Dobiega do swojego biureczka i przewraca w papierach. Znajduje i wraca do mnie. Kartki, które trzyma w ręku pobazgrane są jej ledwie czytelnym, energicznym pismem.

— Parę dni temu zabawiałam się tłumaczeniem erotyków Algernona Swinburne'a. Przeczytam ci jedną strofkę, chcesz?

— Koniecznie!

— Najpierw tekst angielski:

That I could drink thy veins as wine, and eat
Thy breasts like honey, that from face to feet
The body were abolished and consumed,
And in my flesh thy very flesh entombed!
Zrozumiałeś?

— Mniej więcej.

— Więc oto próbka mojego przekładu:

Jak wino mogłem wyssać z żył
twych krew,
Pierś miodną kąsać; od stopy po brew
Łapczywiem pożarł twe ciało jak kruk,
By w moim ciele znalazło swój grób!*)

Patrzy na mnie pytająco. Oczy ma rozwarte szeroko, ale półprzytomne. Czy to wpływ alkoholu?

— Nie wiedziałem, że masz zdolności literackie. To chyba trafny przekład.

— Nie wiem. Brakuje mi stale męskich rymów. Pod tym względem jesteśmy nędzarzami. Ale przecież nie czytam ci tych wypocin, żebyś się silił na pochwały. Czy to tylko Swinburne? Nie odnajdujesz siebie w tych wersach? Dla ciebie kochanie się ze mną to też konsumpcja. Wstrętny kanibalu!

Prowokuje mnie. Wie, jaki płomień jest we mnie, i mimo to jeszcze go rozdmuchuje. Zbliżam twarz do jej twarzy. W każdej chwili oczekuję odprawy z jej strony. Ale nie! Nie cofa głowy, rozchyla wargi. Poddaje mi się. Całuję ją najpierw lekko, potem z wzrastającą furią. Jednocześnie ostrożnie zsuwam jej z ramion bluzkę, pod którą jest przecież naga. Odrywam się od miękkich, gorących ust i jak oszalały przypadam do piersi. Thy breasts like honey... Słowa Swinburne'a brzmią archaicznie, ale coś w tym jest. Coś w tym jest! The body were abolished and consumed. Unoszę dół bluzki i całuję obnażony gładki brzuch. Ilona nie stawia oporu, ale i w niczym mi nie pomaga. Teraz głównym mym celem staje się usunięcie przeszkody, jaką stanowią jej czarne spodnie. Drżącymi rękami szukam na oślep ekspresu, znajduję, szarpię go niecierpliwie, wściekam się. Ilona nadal zachowuje się biernie, albo się czai. Już tak mało dzieli mnie od spełnienia... Szykuję się, by przebyć ten niewielki dystans, gdy nagle z jej ust wydobywa się zdecydowane: — Nie. — Jeszcze nie rezygnuję, ale w sercu narasta rozpacz. Wiem, że nigdy nie udało mi się jej przekonać, czy przebłagać, gdy mi odmawia.

— Dlaczego? — bełkoczę — Powiedz, dlaczego?

Widzę w jej oczach zimne błyski. Wiem, że uderzy na odlew.

— Bo *z tobą* nie mam dzisiaj ochoty.

Czy musiała powiedzieć właśnie tak? Teraz łagodnieje, ale widać, jak nagle ogarnia ją senność. Znam ją dość dobrze, by wiedzieć, co to znaczy. Powinienem żegnać się i wychodzić. Stoję jednak pośrodku pokoju, żałosny, jak proszący pies.

— Idź już — mówi ona zachrypłym głosem — Zasypiam stojąc.

*** Przekład: Władysław Orłowski.**

Fragment powieści przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

ROZMOWA

Foto: J. Mendychowski

TRZEBA CHRONIĆ TRADYCJĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

— ...a koniec żałosny. No, jeszcze zobaczymy. Tymczasem jednak warto przypomnieć, że działalność oświatowo-wystawienniczą zainaugurowaliśmy 17 listopada 1975 roku ekspozycją czasową pod nazwą „Ulica Piotrkowska". Udostępniliśmy wówczas jednocześnie dwie sale teatralno-koncertowe i przystąpiliśmy zarazem do zakupu sprzętu i muzealiów. W tym samym czasie rozpoczęliśmy remont podziemi i rekonstrukcję sal pałacu. W tym to właśnie okresie odtworzona została sala arkadowa.

— Którą, jak się orientuję, przejął bałucki Urząd Dzielnicowy. Nie chciałbym być złośliwy, ale uważam to za nieporozumienie wymagające natychmiastowego sprostowania. Pytanie o losy sali arkadowej zwróćmy więc raczej do naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Natomiast Pana, Panie dyrektorze, zapytam o plany wystawiennicze.

— Pozwoli Pan, że jako historyk kultury z wykształcenia, powrócę do historii. Rozumiem, że pyta Pan o nasze wystawy i od powiem od razu,, że po „Ulicy Piotrkowskiej" mieliśmy szereg innych i myślę że interesujących. Dość wspomnieć zresztą ekspozycje pod nazwą „Łódzkie premiery teatralne w latach1945—1975", którą zaprezentowaliśmy miasto jako ośrodek kultury teatralnej dostarczając jednocześnie pożywkę pisarzom, ponieważ wernisaż połączony był z „Balem aktora", a więc z imprezą, która czyni muzeum żywym, współczesnym. Przyznam się, że chcielibyśmy uniknąć opinii o nas jako o ośrodku gdzie pachnie werniksem oraz środkami konserwującymi. Współczesne muezum powinno nie tylko odbijać autentyczne życie, ale także tętnić jego rytmem. Wtedy nie będziemy musieli troszczyć się o zwiedzających, na brak których zresztą specjalnie nie narzekamy. Dość przypomnieć wystawy „Nasze przemiany w latach 1971—1975", „Z historii Łodzi i rewolucyjnej walki społeczeństwa łódzkiego", „Ochrona zabytków Łodzi". „Z dziejów łódzkich księgozbiorów" „Pejzaż łódzki", „Sto lat śpiewactwa łódzkiego".

— Czy Pan jednak nie przecenia tych działań? Proszę pamiętać, że większość łodzian to ludność napływowa, rezultat wielkich migracji.

— Trafił pan w sedno. Niestety zbyt mało docenia się u nas patriotyzm lokalny, który ma ogromne znaczenie moralne i wychowawcze. Powiem Panu wprost, że wystawy czasowe dokumentują historię Łodzi, eksponują łódzkie inicjatywy, osiągnięcia i problemy. Ułatwiają nam także nawiązanie kontaktów z instytucjami, kolekcjonerami, ze środowiskiem naukowym. Podczas takich działań ujawniają się często cenne eksponaty, które następnie, zakupione lub darowane, będą wykorzystane przy zorganizowaniu stałej wystawy dziejów Łodzi.

Nie oddaje to zresztą wszystkiego. Nie mam powodu ukrywać, że poza różnorodnym programem naukowym i wystawienniczym Muzeum zorganizowało, albo przynajmniej patronowało imprezom, których było ponad 40 i to zarówno o charakterze lokalnym jak i ogólnopolskim, którym udostępniliśmy zabytkową salę koncertową i wielką salę teatralną. Szczególny zresztą nacisk położyliśmy na współpracę z młodzieżą szkolną i akademicką.

— Doceniam tego typu działalność. Z drugiej strony rodzą się jednak wątpliwości, czy nie jest to po prostu ucieczka przed działalnością ściśle muzealną.

— Koniecznie chce nas Pan zmumifikować. Z drugiej strony rozumiem chyba pańskie niepokoje i od razu postaram się je rozwiać. Otóż nie i jeszcze raz nie.

Podam na samym wstępie, że w pierwszych miesiącach swego działania Muzeum zakupiło lub uzyskało z przekazów i darowizn szereg cennych eksponatów, których wartość dawno przekroczyła milion złotych. Ministerstwo Kultury i Sztuki dało nam dotację na zakup muzealiów związanych ze sztuką i techniką filmową, a tego w przeszłości Łodzi naprawdę nie brak. Mamy zresztą ambicję stać się centralnym muzeum kinematografii, może dlatego, że w naszym gmachu ma siedzibę Zespół Realizatorów Filmowych „Profil". W zasięgu naszej uwagi jest także sztuka telewizyjna, co udokumentowaliśmy wystawą poświęconą historii łódzkiego ośrodka telewizyjnego. Nie zapomnieliśmy także o filmie. Na początek wespół z „Semaforem" zrobiliśmy wystawę zasłużonego artysty kinematografii Zenona Wasilewskiego.

— Jednak, mimo tak bogatej działalności, widz odwiedzający wasze muzeum ma wciąż poczucie tymczasowości.

— Nie podzielam tego odczucia choć staram się je zrozumieć, bo nie wątpię, że był Pan naszym widzem. I mogę Pana pocieszyć, że się to niedługo skończy, jeśli odczucia Pańskie były prawdziwe. Otóż już niedługo otworzymy ekspozycję stałą. Specjalistyczne scenariusze działowe do stałej wystawy są już gotowe, opracowali je pracownicy Muzeum oraz specjaliści łódzkiego ośrodka naukowego. Przewidujemy jednocześnie, że otwarcie wystawy stałej nastąpi jeszcze w bieżącym roku w wyremontowanych pomieszczeniach podziemi pałacu oraz w salach na pierwszym piętrze. Mogę dodać, że ogólna powierzchnia wystawowa obejmie mniej więcej 600 metrów kwadratowych.

— A czego będą dotyczyć te wystawy?

— W podziemiach budynku przy pl. Wolności 2 ulokujemy ekspozycje mówiącą o archeologii Łodzi aż po rok 1918. Znajdą się tam pomiędzy innymi eksponatami: ceramika, detal architektoniczny, witraże, rzeźba, kowalstwo, narzędzia pracy i rzemiosło artystyczne. Na piętrze postaramy się zobrazować przestrzenny rozwój Łodzi i jej zabudowę od wieku XV po nasze czasy, mieszkańców miasta rzemiosło, przemysł i handel łódzki dalej władze miejskie i gospodarkę w latach 1971—1977, także współczesne życie polityczne i aktywność społeczną wreszcie kulturę, obyczaj naukę i oświatę.

— Czy jednak nie przemawia przez Pana zbytni optymizm? Rozumiem że mówi Pan o założeniach. Na ile jednak są on realne?

— Optymizm? Nasze Muzeum wprawdzie wciąż jeszcze raczkuje ale chyba nie ma obaw do niepokoju. Powiem Panu także, jako prezes Stowarzyszenia Historyków Sztuki, że już dawno, a może nawet nigdy, nie mieliśmy w Łodzi tak wspaniałej sytuacji w dziedzinie konserwacji zabytków. Są przecież sprawdzone pracownie w muzeum archeologii, które zajmuje się głównie zabytkami kultury materialnej, w muzeum sztuki zainteresowanym przede wszystkim plastyką, w muzeum włókiennictwa, historii włókiennictwa ściślej, które konserwuje tkaninę. Myślę, że obecny konserwator zabytków w Łodzi ma takich sojuszników, że może mu ich pozazdrościć sam profesor Lorentz.

— Był Pan przez szereg lat konserwatorem zabytków w mieście i Pana inicjatywie zawdzięczamy, że szereg obiektów trafiło do rejestrów biorących je pod ochronę. Dlatego właśnie pytam jak Pan ocenia program konserwatorski w Łodzi a także realność jego wykonania.

— Ja miałem o wiele łatwiejsze zadanie. Cóż, wobec rozszerzenia granic administracyjnych miasta przybyło nam zarazem zabytków, w które Łódź nie była wcale tak uboga. Cieszy mnie, że w osobie mgr Pracuty pozyskaliśmy dla miasta konserwatora z wieloletnim doświadczeniem i wiedzą. Ma on do pomocy Pracownię Konserwacji Zabytków. Posiadamy także w Łodzi zasłużony Ośrodek Dokumentacji Zabytków z wysoko wykwalifikowanymi absolwentami konserwatorskiej szkoły toruńskiej. Wychowankowie tej szkoły zrekonstruowali Malbork, Frombork i Toruń. Zresztą w Muzeum Historii Miasta także pracują wychowankowie tej szkoły.

— Odeszliśmy tymczasem od spraw Muzeum.

— Chciałbym więc powiedzieć nie tylko o planach, ale także o naszych dokonaniach. Już rozpoczęliśmy cykl wystaw wybitnych architektów poświęconych budowie „drugiej Łodzi". Wzbogacimy tę listę o takie realizacje jak „Łódzcy olimpijczycy — Paryż 1924 — Montreal 1976", „Rewolucja październikowa w obiektywie Jana Skarbka-Malczewskiego", „Poeci różnych narodów o Rewolucji Październikowej", monograficzna wystawa „Łódź filmowa". Planujemy także wystawy „Świat dziecka", „Konstanty Mackiewicz — życie i dzieło", wreszcie „Dawne instrumenty muzyczne", dzięki uprzejmości Muzeum Narodowego w Poznaniu.

— Pamiętam, jeszcze z czasów Pańskiego konserwatorstwa, ambitne plany związane z zagospodarowaniem Księżego Młyna?

— Pamiętamy wciąż o potrzebie dalszej adaptacji remizy strażackiej gdzie moglibyśmy stale eksponować historię pożarnictwa łódzkiego oraz dzieje największych w Łodzi zakładów bawełnianych im. Obrońców Pokoju. Przewidujemy także szybkie odremontowanie pałacu przy placu Zwycięstwa 2, gdzie chcielibyśmy ulokować Ogólnopolski Ośrodek Kultury Teatralnej i Filmowej przy współpracy pobliskiej szkoły filmowej. Wreszcie samo osiedle fabryczne Księży Młyn, które traktujemy jako skansen kultury robotniczej. Umieszczona tam ekspozycja będzie prezentowała domy i wyposażenie mieszkań robotniczych, oświatę, naukę, obyczaj i folklor różnych warstw miejskich poczynając od początków Łodzi przemysłowej aż po rok 1939. Założeniem ogólnym jest adaptacja obiektów położonych w rejonie Księżego Młyna do wypełniania funkcji skansenu przy ciągłym użytkowaniu osady fabrycznej w ramach Widzewskiego Centrum Kultury. Zabytkowy park Źródliska będzie terenem rekreacji oraz miejscem galerii rzeźby współczesnej.

— Kiedy to będzie?

— Obiekt mamy otrzymać w roku 1980. Gdyby to zależało tylko od władz dzielnicy już dawno weszlibyśmy w jego posiadanie. Niestety, o terminie rozstrzygną Pracownie Konserwacji Zabytków, które mają zresztą najlepszą wolę, aby rzecz cała stała się realnością.

Poprzez wystawę ilustrującą rozwój łódzkiego pożarnictwa początek został zrobiony. Dobry początek. Zresztą tzw. pałac Herbsta przy ulicy Przędzalnianej 72 jest już pieczołowicie rekonstruowany. Ulokujemy tam zgodnie z programem konserwatorskim stałą ekspozycję: „Sztuka drugiej połowy XIX wieku". Pieczę nad rekonstrukcją wnętrz z ubiegłego wieku sprawuje zresztą Muzeum Sztuki w Łodzi.

— A co z salą arkadową tak misternie wyremontowaną w pałacu przy ul. Ogrodowej, który jest siedzibą Muzeum?

— Na to pytanie odpowiedzieć może tylko naczelnik dzielnicy Bałuty.

Rozmawiał:

KONRAD FREJDLICH

Foto: Archiwum

FILM

AMBICJE I KONSTATACJE

„Moje zainteresowanie powieścią Władysława Rymkiewicza nie było przypadkowe. Od dawna interesował mnie ten okres historyczny, o którym zbyt mało mówi się i pisze" — zaznaczył reżyser filmu „Czerwone ciernie" Julian Dziedzina w wypowiedzi dla Filmowego Serwisu Prasowego. Faktycznie: w literaturze, nie mówiąc już o filmie, historia początku wieku rzadko stawała się obiektem zainteresowań twórców. Tym bardziej więc wzbudza zainteresowanie próba ekranizacji powieści łódzkiego pisarza, której tematyka dotyczy wydarzeń Rewolucji 1905 roku w Łodzi. Mamy więc do czynienia ze swoistego rodzaju kontynuacją pewnych wątków problemowych, które znajdowały się w podtekście „Ziemi obiecanej". „Czerwone ciernie" przenoszą nas w scenerię wydarzeń z filmu Wajdy: minęło jednak wystarczająco wiele lat, aby perspektywa spojrzenia na sytuację społeczną stała się już zupełnie inna. W filmie Wajdy proletariat stanowił jedynie bezimienną, nieuformowaną masę — kamera wnikliwie rejestrowała wydarzenia rozgrywające się w fabrykanckich salonach; czasami tylko przenosiła się na ulicę. W „Czerwonych cierniach" to, co najważniejsze, dzieje się już na ulicach Łodzi: anonimowy tłum z ostatniej sceny „Ziemi obiecanej", którego społecznym wyróżnikiem był czerwony sztandar, staje się bohaterem filmu Dziedziny. Czerwony kolor pozostając oznaką społeczną, zmienia się także w wyróżnik historyczny.

Jednakże nasze spojrzenie na film tak bardzo łódzki, nie może być pozbawione także głębszej świadomości wcześniejszych dokonań. Osiągnięciem Wajdy było przede wszystkim ujawnienie prawd ogólnych w konkretnej sytuacji społeczno-historycznej. Aby powiedzieć prawdę o kapitaliźmie w perspektywie indywidualnych przeżyć ludzkich, trzeba było dokonać najpierw rewizji stereotypów, którym królował model „złego kapitalisty". Moralność w świecie „Ziemi obiecanej" wypowiadała doskonale swoją klasową genezę. Duch czasu stwarzał się na naszych oczach i kształtował dopiero swój dekalog; dramaty indywidualne stawały w poprzek nieprzeczuwanych nawet przemian, które musiały wbrew nim nastąpić. W chaosie olbrzymiejącego miasta nie było jeszcze miejsca na protest, na barykadę. Wtedy istniała jeszcze złudna perspektywa jedności interesów. W epoce „Czerwonych cierni" obserwujemy już inną fazę procesu historycznego. Stateczny kapitalizm początku dwudziestego wieku zawiera w sobie o wiele wyraźniej — co paradoksalne — zapowiedź własnej klęski. Zwłaszcza, że wraz ze wzrostem świadomości klasowej następowało pobudzenie świadomości narodowej. Jak widać więc temat filmu, epoka, która staje się przedmiotem zainteresowania zakłada zupełnie wyjątkowe potraktowanie. Ideałem byłoby tu nie tylko zrekonstruowanie wydarzeń historycznych, ale dotarcie do ich genezy i to nie w wymiarze ogólnym, ale w jednostkowym przebiegu losów ludzkich. Niestety film Dziedziny, mimo że wyraźnie zdradza takie ambicje, to poprzez zabiegi przeprowadzone na pierwowzorze literackim (na etapie scenariusza) traci możliwość ujawnienia ich na ekranie. Odnosimy bowiem wrażenie, że zawartość myślowa filmu kształtuje się prawie wyłącznie w konstatacjach wcześniej założonych prawd ogólnych. Na przykład internacjonalizm znajduje swoją zbyt chyba ilustracyjną egzemplifikację we wzorcowo różnych rodowodach głównych bohaterów (polski szlachcic — rewolucjonista, robotnik, spolszczony Niemiec, Żyd i Rosjanin). Zwłaszcza postać Stefana Wojnicza — człowieka odcinającego się od własnej klasy, realizuje w dość umowny sposób stereotyp o bardzo odległej genezie. W dodatku pamiętając powieść Rymkiewicza przekonujemy się, że w „Czerwonych cierniach" nastąpiło znaczne zubożenie w stosunku do zawartej tam niebagatelnej wiedzy historycznej i politycznej w epoce. Warstwa ta, tak istotna w „Czas pojedna, trawa porośnie", tu zastąpiona została wyeksponowaniem sytuacji melodramatycznych. Konsekwencją takiego zabiegu jest także rezygnacja z ukazania wydarzeń 1905 roku w szerszym kontekście historycznym, co nie jest rozwiązaniem „opłacalnym", jeżeli zważymy, że w zamian za to otrzymujemy historie pozostająca w zasadzie na marginesie wypadków, ze względu na jej niejasne uzasadnienie psychologiczne.

W sumie film właściwie spełniając stereotypowy kanon, nie wnosi niestety wiele nowego do naszej wiedzy o temacie. Jeszcze raz potwierdza się prawda, że próbując na ekranie dokonywania historycznych syntez, rzadko można liczyć na powodzenie, jeżeli nie poprzedzi się ich szczegółowa analiza indywidualnych motywacji. Najczęściej całość musi się wtedy ograniczać jedynie do konstatacji: do repetycji prawd już znanych.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

KSIĄŻKA

FILOZOFIA BUNTU

Problematykę przyczyn buntów młodzieży studenckiej w krajach zachodnich w latach sześdziesiątych podejmuje jeden z czołowych ideologów socjalistycznych E. J. Batałow w swej książce „Filozofia buntu". Pozycja ta zawiera krytykę poglądów współczesnych przywódców młodego pokolenia — lewicowych radykałów, co podkreśla w podtytule sam autor.

Ruch sił protestu zwany „nową lewicą" ogarnął młodzież większości krajów kapitalistycznych takich jak: USA, Japonia, RFN, Włochy. Punktem kulminacyjnym stały się tzw. wydarzenia majowe we Francji w 1968 roku. Szerzące się bunty posiadały szereg wspólnych cech nadających im piętno wystąpień o charakterze polityczno-społecznym i kulturowym, będących odpowiedzią na szerzący się kryzys rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego. Kryzys ten dotyczy istniejącego systemu stosunków społecznych, wyrażających je instytucji oraz panującej niepodzielnie ideologii.

W społeczeństwie kapitalistycznym podzielonym na antagonistyczne klasy, rewolucja naukowo-techniczna w znacznym stopniu przyczyniła się do zmiany dotychczasowego statutu inteligencji i studentów. O ile dotychczas ta część społeczeństwa nie brała bezpośredniego udziału w tworzeniu wartości dodatkowej zachowując wolne i uprzywilejowane stanowisko tzn. wchodziła lub mogła wejść w szeregi klas posiadających, tak teraz w swym położeniu przybliżyła się do klasy robotniczej, co w rezultacie pcha ją do negacji panującego w społeczeństwie porządku. Wydaje się być słuszne podkreślenie Batałowa, że nie tylko głód, nędza materialna ale także głód duchowy, wyobcowanie od władzy, od swobodnej twórczości, sprowadzenie całej energii ludzkiej do niepowstrzymanego wyścigu konsumcyjnego może stać się niekiedy siłą napędową protestu.

W myśl teorii lewicowych radykałów klasa robotnicza krajów kapitalistycznych przestała być nosicielką postępowych idei. Pewnego rodzaju stan rewolucyjnego spoczynku podyktowany jest zmianą dotychczasowego modelu konsumcji oraz możliwością uzyskania określonego komfortu życiowego. Obecne zainteresowania proletariatu sprowadzają się głównie do problemu umocnienia dotychczasowych zdobyczy, a rewolucyjne jutro maluje się jej raczej w ciemnych barwach. Dodatkowym czynnikiem hamującym wszelkie przygotowania do powstania zbrojnego jest represyjna działalność państwa, zmierzająca do unicestwienia w zarodku jakichkolwiek przejawów niezadowolenia. Dlatego też, ciężar zorganizowania przewrotu przeszedł na te warstwy społeczeństwa, które są prawdziwie rewolucyjne i zaangażowane w ukształtowanie nowego i lepszego społeczeństwa czyli na studentów i inteligencję.

Sam akt przemocy wzorowany był na zbrojnych przemianach dokonujących się w krajach Trzeciego Świata z uwagi na ich nowoczesność, oraz osiągnięcia w realizacji modelu współczesnego państwa. Preferują za wszelką cenę system walk partyzanckich mając przed oczami niedawno zakończoną wojnę narodowowyzwoleńczą narodu wietnamskiego. Dla lewicowych radykałów wojna ta mogła się stać punktem zwrotnym w historii i oznaczać upadek imperializmu. Koncepcję pokojowego współistnienia traktują jako czynnik osłabienia świadomości rewolucyjnej i zahamowania postępu społecznego, oraz jako sposób umocnienia pozycji kapitalizmu. Przy ewentualnej konfrontacji zbrojnej stawiają jedynie na własne siły, na akty terroru nie bacząc na to czy sytuacja społeczno-polityczna i świadomość mas dojrzały już do podjęcia tego typu posunięć.

Akcentując brak dostatecznej świadomości rewolucyjnej oraz programu ustrojowego przyszłego państwa, Batałow prezentuje tych ideologów którzy w sposób bezpośredni lub zawoalowany oddziaływują na przywódców „nowej lewicy". Galeria tych postaci nie jest duża, ale za to obfituje w nazwiska osób znanych na całym świecie. Na czoło wysuwa się niewątpliwie człowiek nazywający sam siebie „marksistą" — Marcuse. Mówiąc o swej „zgodzie" na niektóre tezy Marksa, był zarazem jednym z najbardziej zaciekłych krytyków idei marksizmu wśród lewicowych radykałów. Drugą koronną postacią jest francuski filozof i polityk znany przede wszystkim na terenie Europy — Jean Paul Sartre. I on, podobnie jak Marcuse wyrażał swoją „sympatię" dla marksizmu uznając ją jednak za niewystarczającą i wymagającą uzupełnienia egzystencjalizmem. Powstaje tylko pytanie, skąd aż tak daleko idące zainteresowanie ideologią socjalistyczną wśród elity umysłowej państw zachodnich?

Teoretycy marksizmu niejednokrotnie wypowiadali się przeciwko absolutyzacji przemocy zbrojnej, w sytuacji kiedy społeczeństwo nie wykazywało dostatecznej świadomości rewolucyjnej, oraz w przypadku kiedy warunki historyczne nie sprzyjały podjęciu takiej decyzji. Wydaje się również, że stosowanie przemocy i terroru drogą drobnych prowokacji w sumie może jedynie wyrządzić szkodę przygotowaniom rewolucyjnym. Wojna nie jest tutaj traktowana jako jedyny i zawsze skuteczny środek do osiągnięcia celu jakim jest przejęcie władzy w państwie i dokonanie zasadniczych przemian. Trzeba brać pod uwagę aktualne okoliczności obiektywne i stosować przemoc zbrojną jedynie wtedy, gdy jest to rzeczywiście niezbędne.

Książka E.J. Batałowa ukazała się w ramach serii „Krytyka burżuazyjnej ideologii i rewizjonizmu". Tematycznie stanowi kontynuację wcześniej opublikowanej pracy St. Rainka „Marksizm i jego krytycy". Jest to niewątpliwie interesująca i wartościowa pozycja, rzucająca wiele światła na problematykę młodzieży w krajach zachodnich. Nie wyczerpuje jednak całości badanego zagadnienia. Autor nie wyjaśnia do końca w jakim stopniu buntująca się młodzież i inteligencja uznały prezentowany program polityczny za słuszny, odzwierciedlający ich własne przekonania. Brak jest również głębszego naświetlenia oddziaływania ideologicznego ze strony państwa na buntującą się część społeczeństwa. Ponadto w niektórych częściach pracy, przy nawiązywaniu do poszczególnych zagadnień, autorowi nie udało się uniknąć powtórzeń. W treści zwraca uwagę pewna jednostronność ocen i może zbyt daleko idące wysuwanie wniosków w oparciu o stosunkowo wąski i niekiedy jednostronny materiał faktyczny. W sumie tych kilka krytycznych uwag nie może przesłonić wartości omawianej książki, będącej wynikiem długotrwałych badań i dużej erudycji jej autora.

WIESŁAW MIELCZAREK

E. J. Batałow „Filozofia buntu. Krytyka ideologii lewicowego radykalizmu". KiW 1976, str. 220, nakład 3 650 egz., cena 40 zł.

SZTUKA

Stanisław Korpa — Rzeźba

RAPORT O DUCHACH PASIEKI I DUSZKACH PODWÓRZOWYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

Albo brama. Niewielka, taka, że ledwo mieści wóz z koniem, szeroko, gościnnie otwarta, a przecież czujnie strzeżona. Po jej jednej stronie stoi wyszczerzając kły wielki, prawie dwumetrowy niedźwiedź. Po drugiej zaś Światowid o czterech twarzach. A jedna twarz smutna, a druga uśmiechnięta, a trzecia zamyślona, a czwarta, ta na wprost drogi, groźna. Jest jeszcze nad Światowidem ukryty w gałęziach świerczku rosnącego przy bramie mały czarny diabełek, stroszący ostre różki, szelmowsko uśmiechnięty.

Ale to nie wszyscy strażnicy tego gospodarstwa. Pod stodołą stoi wysoki, dwumetrowy, stróż. W dłoniach wzniesionych dzierży grubą pałkę. Przy ulach natomiast, bo są i ule w tym gospodarstwie, czuwa wielki maszkaron. Choć twarz ma groźną, minę srogą jest dobrym duchem pasieki, czuwającym nad pracowitą krzątaniną pszczół.

Józefa Chaladaj — Wycinanka

ZAPRASZAM, ALE NIC WAM NIE POKAŻĘ

Elżbieta Delida, etnograf Muzeum Sieradzkiego, jest w nielada kłopocie. W sieradzkim mieszka piętnastu rzeźbiarzy, do którego więc zaprowadzić, którym się pochwalić? Najbliżej jest do **Stanisława Korpy**, mieszka zaledwie kilka kilometrów od Sieradza. Korpa to nie tylko znakomity rzeźbiarz, ale także malarz i wycinankarz.

— O wycinanki lepiej go nie pytać — mówi pani Elżbieta. — **Korpa uważa, że jest to babska robota. Zdradził się z tymi wycinankami przypadkowo. Wyciął kiedyś z papieru kubraczek dla swojej rzeźby. No i okazało się, że rzeźba jest piękna, ale Kubraczek najpiękniejszy.**

Nie pojechaliśmy jednak do Stanisława Korpy. On sam odwiedził nas w Muzeum, do którego wstąpił po informacje o niedawno ogłoszonym konkursie na temat „wiejskiej rodziny w sztuce polskiej".

— Kochani — pan Stanisław szeroko rozłożył ręce — **pięknie zapraszam w gościnę, ale nic wam nie pokażę, bo nie mam. Co było gotowe porozdawałem, a do nowych jeszcze nie zasiadłem. Przyjedźcie pod koniec lutego wtedy będę miał gotową rzeźbę rodziny wiejskiej.**

Elżbieta Delida, już od ośmiu lat współpracująca z twórcami ludowymi proponuje odwiedzenie **Szczepana Muchy** ze wsi Szale koło Klonowej.

— Ale to daleko, prawie 50 kilometrów od Sieradza — uprzedza — **Warto jednak potrząść się na wybojach. Obiecuję, że zobaczycie piękne rzeźby. A i sam gospodarz, to ciekawa postać, odludek, milczek, od wsi odgrodził się rzeźbionym płotem, a przed bramą ustawił niedźwiedzia, Światowida i diabła.**

WIEŚ ZABITA DESKAMI

O takich wsiach mówi się, że są zabite dechami. Droga do wsi Szale wyboista i zdradliwa, bo śnieg ukrył dziury, przesłonił rozpadliny. Do wioski można dobrnąć tylko piechotą, bo na drodze i koń ugrzęźnie. Piechotą więc lepiej, ale nie bezpieczniej. Wzdłuż całej wsi ciągną się gęste lasy, w których o dzika łatwiej niż o zająca, choć i zajęcy nie brakuje. Ten bliski las wodzi na pokuszenie mieszkańców Szal. Nieraz ten i ów wymyka się cichcem w najgłębsze ostępy, aby zapolować na odyńca, szaraka, a da Bóg, sarnę. Czy to kto ustrzeże, zauważy, przypilnuje? Do władzy z takiej wsi daleko, a do lasu bliziutko.

O takich wsiach mówi się, że są siedliskiem zacofania, ciemnoty, zabobonu. **Elżbieta Delida** dodaje: — **w takich wsiach kultywuje się do tej pory tradycje ludowe, uprawia sztukę ludową. Tu trwają w niezmienionej postaci obrzędy, śpiewki i tańce.**

RZEŹBY SZCZEPANA MUCHY

Szczepana Muchę zastałem przy robocie. Na podłodze w kuchni walają się pierwsze kawały odłupanego drewna. Z kloca stojącego na niskim stołeczku wyłania się zarys postaci.

— To będzie — mówi Szczepan Mucha — **chłop siejący z płachty. To druga postać z rodziny wiejskiej, jaką przygotowuję na konkurs.**

Na stole stoi już gotowa rzeźba kobiety ubijającej masło w kiżance. W planach ma jeszcze twórca wyrzeźbienie dziadka pochylonego nad kołyską. Ale to przyszłość. Teraz Szczepan Mucha rzeźbi siewcę. Dłuto ześlizguje się z kloca, topornie wchodzi w drewno.

— Robię w takim materiale, jaki mam pod ręką, a więc w sośnie. Przecież sosnowy las zagląda nam w okna. Ale sosna to twarde drzewo, nie poddaje się łatwo dłutu. Najbardziej nadaje się do rzeźbienia lipa. Ale skąd ją brać?

Niedawno w Sieradzu podczas przygotowywania placu pod budowę ścięto kilka lip. Niepotrzebne drzewa zakupiło Muzeum. Trafiły potem do ludowych artystów. Część dostał także Szczepan Mucha. Zrobił wtedy kilka pięknych rzeźb, za niektóre dostał nawet ogólnopolskie nagrody. Drzewa lipowego już nie ma, ale Mucha i z sośniny potrafi wyczarować piękne rzeczy. A do pracy używa jedynie narzędzi zrobionych własnoręcznie. Oczywiście, łatwiej byłoby kupić w państwowym sklepie, choćby w Klonowej czy nawet w Sieradzu, ale czy te kupne byłyby równie dobre, jak te, które samemu robię?

Szczepan Mucha tworzyć zaczął niedawno, przed ośmioma laty, ale marzył o tym od wczesnej młodości. Choćby już w 1939 roku, kiedy to jako żołnierz trafił do Łodzi. Chodził wtedy po łódzkich uliczkach, oglądał rzeźby zdobiące secesyjne fabrykanckie pałacyki, między innymi te dwa atlasy wspierające dom przy Narutowicza i myślał: czy ja bym tak umiał zrobić. Ale potem, kiedy zaczął gospodarować na własnej ziemi, wyparowały mu z głowy te marzenia. Dopiero, kiedy syn dorósł, do miasta odszedł, przypomniał sobie Mucha owe posągi na łódzkich pałacach. Wziął się wtedy do upiększania obejścia, a zaczął od główek w sztachetach.

— Cała wieś brała się pod boki — mówi żona Muchy **kiedy Szczepan zaczął te główki rzeźbić. Zbzikował na starość, orzekły sąsiadki. A ile było cudowania, gdy mąż postawił przed bramą niedźwiedzia. A już diabła to cała wieś nie mogła nam darować.**

Muzeum w Sieradzu dowiedziało się o artyście przypadkiem. Do ówczesnego dyrektora Muzeum, **Zofii Neumanowej**, dotarła kiedyś wiadomość, że we wsi Szale mieszka gospodarz, który płot swój ozdobił. Na pierwszą wizytę do Muchy zjechało pół personelu muzealnego.

— Pani dyrektor — mówi Mucha — **obejrzała wszystkie rzeźby, pokręciła głową i powiedziała: które zechce pan ofiarować naszemu Muzeum? Pomyślałem wtedy tak: po co im będę dawał, wezmą, pośmieją się, korzyść z tego żadna, niech lepiej żona napali nimi w piecu. A tu pani dyrektor wciąż mnie nagabuje: co pan chce ofiarować i co pan chce ofiarować. W końcu kierowca służbowej nyski, którą przyjechali z Sieradza szepnął mi, żebym dał im jakąś, to muzeum za nią zapłaci. A jeśli tak, to proszę bardzo. No i zapłacili. Sąsiadom miny zrzedły, bo okazało się, że moje dłubanie, coś jest warte.**

DEMONOLOGICZNY ZESTAW

W Muzeum Sieradzkim jest już 65 prac Szczepana Muchy. Są wśród nich i dziady proszalne i księża, i wiejskie baby. Ale najwięcej jest duszków, diabłów i diabełków. Cały zestaw demonologiczny.

— Trudno tu mówić — wyjaśnia **Elżbieta Delida — o jakiś typowych motywach czy tematach sieradzkich. Na przykład chłop siejący z płachty, czy baba ubijająca masło w kiżance to tematy znane w innych regionach. Raczej można mówić o indywidualnym wyrazie, odrębnym piętnie każdej pracy. Wśród sieradzkich twórców na pewno jednym z najciekawszych jest Szczepan Mucha. Jego rzeźby są szlachetne w linii, pełne ekspresji, zaskakują dojrzałością artystyczną. A najoryginalniejszymi z jego prac są ule figuralne, i właśnie owe diabełki. Może dlatego, że Szczepan Mucha przypisuje im magiczne znaczenie?**

Szczepan Mucha gwałtownie macha rękami.

— Ależ skąd, ja nie wierzę w te duszki i duchy. To jest już czysty wymysł. No, może tak troszeczkę to wierzę w ducha pasieki, dobrego, pilnującego pszczół, czuwającego nad ich pracowitą krzątaniną. Gdy pani dyrektor Neumanowa podczas pierwszej wizyty zabrała do Muzeum ducha pasieki, w kilka godzin wyrzeźbiłem nowego i przed ulami postawiłem. Wiadomo przecież, że bez niego mogą pszczoły zginąć.

O duszkach podwórzowych to lepiej nie mówić. On w nie nie wierzy, ale chyba coś z prawdy być musi w bajaniach starych ludzi, że dusze zmarłych gospodarzy lubią wałęsać się nocami po podwórkach.

Kiedy zbierałem się do odjazdu, artysta pokazał mi jeszcze jedną rzeźbę. Ukryta za domem, wisi na gwoździu prawie pod okapem.

— To jest mój chuligan dla specjalnych gości — powiedział. Wysoko, osłonięta od śniegu i wiatru, wisiała figurka małego siusiającego chłopczyka. Może to dobry duszek tego domu.

Kiedy opuszczałem gościnne progi ludowego rzeźbiarza Szczepana Muchy ze wsi Szale koło Klonowej mały czarny diabełek ukryty w gałęziach świerszczyny puścił do mnie oko.

W SIERADZKIM

Ziemia sieradzka nie wydała zbyt wielu artystów ludowych. Dzięki placówce muzealnej udało się ocalić w pobliskiej wsi Monice sztukę ludowego tkactwa i wycinankarstwa. W sa-

Jerzy Kaczmarek — Rzeźba

mym Sieradzu mieszka kilku znanych i cenionych garncarzy. Nie ma natomiast ani gawędziarzy ani ludowych pieśniarzy. Najściślej jednak związali się z Muzeum rzeźbiarze. Uczestniczą w organizowanych przez Muzeum dorocznych konkursach na rzeźbę. Wysyłają swoje prace do Muzeum w Płocku. Dostają nagrody, wyróżnienia. Jest ich już piętnastu, a ilu jeszcze nieznanych, nieujawnionych mieszka na dalekich zapadłych wsiach, takich jak wieś Szale koło Klonowej, prawie 50 km od Sieradza?

MIROSŁAW KUŹNIAK

TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

W POSZUKIWANIU „BOŁDYNA"

I.

Jerzy Putrament, jako pisarz uprawiający „najtrudniejszy gatunek literacki" — polityczną powieść współczesną, pozostawia na marginesie pytanie o „wpływ polityki na życie człowieka". Interesuje go natomiast powstawanie i funkcjonowanie politycznych ośrodków sterowania. I z tego punktu widzenia „Bołdyn" jest najlepszą powieścią Jerzego Putramenta. Powieścią o „rozpadzie osobowości", o relacjach „pomiędzy wybitną jednostką, stanowiącą centrum układu kierowniczego, a ludźmi, którzy zajmują w nim miejsca mniej lub bardziej ważne". Ta niemal z kliniczną precyzją oddana sytuacja (w zgrupowaniu oddziałów partyzanckich w okresie wojny na terenach wschodniej Polski) ujawnia mechanizm gry politycznej, która „nie wymaga od bohaterów świadectwa moralności, lecz posiadania racji inspirujących ich działanie" — pisze Anna Bukowska w „Drogach i manowcach powieści politycznej". Takimi racjami dla Bołdyna i jego sztabu są racje komunisty, który w imię idei walczy z podwójnym wrogiem.

I tu ujawnia się — jak sądzę — zainteresowanie Jerzego Putramenta „grą polityczną" i „rozpadem osobowości", jaki w tej grze zachodzi. Następuje osamotnienie Bołdyna, jednostkowa odpowiedzialność za losy i cele walki, za przyszły kształt Polski itd. To zaś stało się początkiem kultu wodza, jego nieomylności i genialności. I tak oto za sprawą Bołdyna i jego otoczenia „proporcja między czynnikiem obiektywnym i subiektywnym zatarła się prawie zupełnie. Autonomizacja świadomości subiektywnej posunięta została do granic, które dla marksistów są nie do przyjęcia. Refleksyjnie mówi o tym Mroczny, narrator powieści Jerzego Putramenta:

„Zresztą czy był to problem, czy tragedia? Na moich oczach odbywał się rozkład mocnej, wielkiej, rzekłbym, osobowości. Problem byłby wtedy, gdyby istniała jakaś możliwość za tę czy inną cenę proces ten zatrzymać, jeśli nie odwrócić. Ale przecież żadnej takiej możliwości nie było. Była tylko nieuchronna konieczność kontrolowania tej katastrofy, ograniczania szkód, kierowania ich na możliwie niegroźne tereny. Oszczędzania wielkiej sprawy", której służył Bołdyn.

Taka sytuacja stała się realna, kiedy po śmierci generała wszyscy ruszą do ataku z okrzykiem: „Niech żyje Bołdyn!"

„Nagle zrozumiałem — mówi Mroczny — że jest przecież jakiś sens w tym krzyku, i sam mogłem krzyczeć, przejęty, przekonany".

„Nie jest to wyznanie — pisze Witold Nawrocki („Klasa, ideologia, literatura" — akceptacją autorytetu czy wyrazem przekonania o jego immanentnej potrzebie w duszy ludzkiej, ile raczej próba ocalenia jakiejś pozytywnej wartości z tej bolesnej i trudnej lekcji, jaką odbywają z ludzkością Bołdynowie. Przestrzegałbym jednak przed odczytywaniem tej powieści metaforycznie, bo nie jest ona parabolą żadnej konkretnej i historycznie sprawdzonej sytuacji. Jest opisem mechanizmu, z którym obcowaliśmy swego czasu blisko".

II.

Poszukiwanie „Bołdyna" w samej powieści Jerzego Putramenta nie jest wcale takie trudne. Pomaga w tym „gra polityczna" Anny Bukowskiej i „rozpad osobowości" Witolda Nawrockiego. Pomagają lektury powieści Jerzego Putramenta i jego bliskość Kadenowi „w sposobie widzenia — ostrym, czasem brutalnym, satyrycznie celnym". Gorzej, kiedy przystępując do analizy teatralnego kształtu, sięgnąć trzeba do adaptacji, która z powieści wypreparowała tylko fabułę, pozostawiając główny problem, jak okruch czystego, szlachetnego metalu w złomowisku zjedzonego przez rdzę żelastwa. Wtedy owo podstawowe ostrzeżenie Witolda Nawrockiego o metaforyzacji i parabolizacji „Bołdyna" staje się czymś realnym. Spektakl nabiera cech dwuznaczności.

Dwuznaczny jest Bołdyn, bohater ludowy o nikłej świadomości teoretycznej i człowiek skazany na podszepty wodzowskiego instynktu. Dwuznaczne są sytuacje, w których uwikłani są ludzie ze sztabu Bołdyna. Nie ma tu miejsca na rozmyślania, pozostała tylko brutalizacja. Potęguje ją jeszcze narracja filmowa przyjęta przez adaptatora, Krzysztofa Sielickiego, w sposób automatyczny. Nałożyły się zatem dwie różne konwencje: filmowa i teatralna, która wyniknęła z samego już spektaklu, z jego faktury i praw architektonicznych sceny. A przecież, jak pisze Izydora Dąmbska „O konwencjach i konwencjonalizmie":

„Rola konwencji w sztuce jest tak doniosła, że nieraz nieznajomość leżącej u podstaw dzieła sztuki konwencji uniemożliwia uchwycenie struktury dzieła, a w konsekwencji utrudnia przeżycie estetycznych jego wartości".

Otóż to, nic dodać, nic ująć.

III.

Jak wobec tak dwuznacznej sytuacji scenariuszowej można było przeprowadzić jakiś precyzyjny zamysł reżyserski i konsekwentnie zbudować postaci dramatu? Oto podstawowe pytanie, na które odpowiedź jest jednoznaczna: brak materiału, tworzywa zarówno dla reżysera, jak i dla aktorów.

I teraz, kiedy zastanawiam się nad spektaklem, nasuwa się jedyne kryterium oceny: stopień zwycięstwa nad adaptacją, lub stopień klęski wobec adaptacji. Jeżeli w sztuce realistycznej, jaką jest spektakl „Bołdyna", rzeczywistość imaginatywna nie stanowi próby odbicia realnej rzeczywistości, a tylko interpretacyjną, zawartą w adaptacji, to zachodzi podstawowy konflikt pomiędzy funkcją semiotyczną i estetyczną spektaklu. Wówczas to dwuznaczność wyklucza nie tylko porozumienie z odbiorcą dzieła sztuki, ale także możliwość estetycznych doznań. W wypadku „Bołdyna" — jak to podkreślam — zaszedł taki przypadek i dlatego słabością reżyserii Romana Kłosowskiego można nazwać jego wierność w stosunku do adaptacji z jej brakami i obciążeniami.

Moim zdaniem jedynie Zygmunt Malanowicz (Zybert) i Włodzimierz Saar (Bołdyn) wyszli z tej próby sił zwycięsko (oczywiście na ile pozwoliła im rozpaczliwa obrona przed adaptacją). Potrafili bowiem odnaleźć w postaciach przez siebie stworzonych rysy ludzkie. Szukając ich odbicia w historiozofii „Bołdyna", dostrzegli mechanizmy gry politycznej. Ale niestety zrealizowanie ich w pełni w spektaklu było niemożliwe, albowiem zabrakło materii dramaturgicznej. W podobnej sytuacji znaleźli się: Barbara Połomska (Elka) i Andrzej Łągwa (Mroczny). Zwłaszcza Andrzej Łągwa miał trudniejsze zadanie. Mroczny bowiem, jak już pisałem, był narratorem powieści. Z braku jednak możliwości tekstowo-scenariuszowych, które ograniczają postać i spłycają cały utwór sceniczny Andrzej Łągwa budował rolę z trudem, idąc raczej w kierunku naiwnego aintelektualizmu. Taka droga zaszkodziła zatem nie tylko roli, ale także i spektaklowi. Znowu zawiodła materia dramaturgiczna.

I należy tylko żałować, że tak długo oczekiwane dzieło sceniczne miast stać się „wezwaniem do twórczej śmiałości w myśleniu, sądzeniu i mówieniu" stało się tylko opowiastką historiozoficzną. I szkoda, że ten tak trudny gatunek literacki, jakim jest polityczna powieść współczesna, nie stał się gatunkiem teatralnym.

Jerzy Putrament „Bołdyn", adaptacja: Kszysztof Sielicki, reżyseria: Roman Kłosowski, scenografia: Jan Banucha. Premiera na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi 11 grudnia 1976 roku

TELEWIZJA

Foto: Wiesław Machejko

WIESŁAW MACHEJKO

ZAWÓD: OPERATOR FILMOWY TV

W całym kraju jest ich może dwustu. Kiedy szukałem liczby dokładnej nawet w skomputeryzowanym dziale kadr na Woronicza 17 nie mogli dać odpowiedzi natychmiast. Warszawski POLTEL, owszem wie, że ma 43 ludzi wykonujących zawód operatora filmowego, 29 z kategoriami od III do I, w tym 16 po wydziale operatorskim PWSFTiTv w Łodzi. W Katowicach trzech ma kategorie, siedmiu to tzw. reporterzy, bez operatorskich studiów wyższych.

W innych ośrodkach TV pracuje po kilku operatorów filmowych, których droga do 16 milimetrowej kamery filmowej TV wiodła albo przez łódzką szkołę, albo przez przywarsztatowe szkolenie już w czasie pracy w TV. To przeważnie ludzie młodzi, lub już w wieku średnim, nie przekraczający 50. Wraz z powstaniem TV wybrali zawód, który przedtem uprawiano tylko w Polskiej Kronice Filmowej lub w filmowym dokumencie — zawód filmowych sprawozdawców, szybkich rejestratorów wydarzeń. Tak chyba lapidarnie przetłumaczyć można określenie: operator filmowy TV. Ich nazwiska nie błyszczą blaskiem estman-koloru na panoramicznych ekranach kin. Pokazują się za to czasami na ekranach telewizorów dla jednorazowo największej widowni liczącej dwadzieścia parę milionów ludzi. A mimo to pozostają na ogół nieznani. Nie brylują, a jeśli to rzadko, na międzynarodowych festiwalach. Nad swymi wielkimi kolegami mają jednak tę przewagę, że z nami, widzami są najczęściej, blisko, codziennie. Warto zatem poznać ich, choć trochę.

Co lubią? Kręcić! To właśnie możliwość „wielkiego kręcenia" ciągnęła i ciągnie ich do telewizji. W szkole liczą się z każdym metrem taśmy. W filmie dobry operator przekręca rocznie tyle ile operator telewizyjny w ciągu miesiąca. Praktycznie biorąc kręci się w TV cały dzień, odliczywszy czas na przejazdy i posiłki. Daje to szanse dobrego opanowania kamery, tym bardziej, że efekty pracy zobaczyć można już „na czysto" po godzinie. Czy zapis magnetyczny stanowi dla nich konkurencję? U nas, przynajmniej na razie, nie. Wprawdzie pozwala on na natychmiastowe odtwarzanie, na ominięcie laboratorium, ale montaż elektroniczny wciąż jest czasochłonny a i ekipy reporterskie pracujące przy użyciu specjalnych wozów, są bardziej liczne — mniej przez to operatywne. Film jako środek zapisu długo jeszcze pozostanie podstawowym tworzywem TV.

Czego nie lubią? Podobnie jak wszyscy — utrudnień. A do nich zaliczamy wszelkiego rodzaju przepustki, zezwolenia, protokóły. Często wejście na teren zakładu zabiera więcej czasu niż same zdjęcia. W niektórych trzeba po zdjęciach spisać protokół co „zdejmowano", ile klatek zrobiono. Zazwyczaj ku osłupieniu strażników ładu operator nakręciwszy 5 minut filmu wpisuje do odpowiedniej rubryki, iż wykonał 7.500 klatek zdjęciowych.

Gdyby wykonał tyle klatek aparatem fotograficznym obfotografowałby całą fabrykę w najdrobniejszych detalach, łącznie z portretami każdego członka załogi. Liczba filmowych klatek budzi zdumienie, strażników ale skoro tak wymaga formularz...

Co kręcą najchętniej? Każdy z nich ma jakieś swoje ulubione dziedziny, choć telewizja mająca tendencje uniwersalistyczne osobiste zamiłowania natychmiast z głowy wybija. Lubisz kręcić modę? Dobra, braciszku, to pojedziesz robić silosy! Uwielbiasz silosy? Pojedziesz do teatru na balet francuski! Przepadasz za baletem? Ruszaj na ŁKS! Operator musi umieć wszystko, kręcić szybko i krótko. I fakt, że oni to potrafią! Tyle, że i dla tych hobbystycznych słabostek też znajdą chwilę czasu między jednym a drugim przecięciem wstęgi, pokazem opasów rzeźnych czy wyścigiem go-cartów. Wiadomo więc redaktorom, ale zupełnie prywatnie, kto z nich najlepiej umie pokazać modę, kto silosy, a kto balet.

Co ich śmieszy? Nieuzasadniona pompa, z którą dawniej spotykali się w tzw. terenie. Przybycie telewizji nadawało wtedy rangę imprezie. Z jej rozpoczęciem czekano niekiedy i godzinę aż TV zjechała. W czasie pewnego spotkania na wsi mówca dwa razy wygłaszał swe przemówienie. Operator szukał przez ten czas kontaktu do podłączenia żarówek.

Co ich wzrusza? Ludzka szczerość. Na pokazie bydła do ekipy filmującej dorodne sztuki zbliżył się chłop i wręczył operatorowi 500 złotych.

Za dobre zdjęcia, trzeba dobrze zapłacić, nie?

W Hucisku wsi, gdzie zimował Hubal operatorom wręczono na pamiątkę niewypał 88 mm pocisku artyleryjskiego. Żeby sobie zrobili podstawkę pod lampę... Niewiele brakowało, a byłoby i „światło i dźwięk".

Co cenią? Ludzką wyrozumiałość. Kiedyś na skutek błędu w zaproszeniu operator przybył już po otwarciu i zwiedzaniu wystawy. Wyrozumiali przedstawiciele władz zwiedzili ją raz jeszcze...

Kiedyś podczas wręczania sztandaru pewnej organizacji w kamerze operatora zrobiła się z taśm tzw. „sałata". Wręczający dostrzegł to... sztandar zawisł w powietrzu między nim a delegacją. Operator błyskawicznie zmienił kasetę. Kamera poszła i osobistość dokończyła podniosłego aktu. Już bez zakłóceń obejrzeliśmy to potem na ekranie.

Kiedy warunkiem ukazania się w najbliższym DTV relacji z przekazania Łodzi pomnika na Starym Rynku było jego punktualne odsłonięcie, uroczystość zaczęła się od odsłonięcia. Przemówienia odbyły się w czasie, gdy taśma się już wywoływała i montowała.

Kiedy na stadionie ŁKS opisujący rolkę filmu asystent zapytał kibica

— Panie, kto tu gra?

— Legia Warszawa — warknął kibic.

— A z kim? — spytał rozbrajająco asystent.

...mieliśmy przykład najgłębszej wyrozumiałości dla pracy operatorów filmowych TV. Asystent bowiem żyje.

Czego się boją? Pecha. Są takie ekipy, które gdy jadą na zdjęcia plenerowe zawsze pada deszcz, a nowe urządzenie, które mają sfilmować — stoi nieczynne. Inne znowu zawsze coś „psują".

Operatorzy mają więc na koncie:

— **Kuter rakietowy**, któremu nawalił silnik podczas zdjęć.

— **Lokomotywę elektryczną**, której przetwornica spaliła się podczas próbnej jazdy, tuż przed przybyciem ministra.

— **Samolot Wilga**, któremu przy lądowaniu z ekipą zablokowało się koło podwozia. Na szczęście obyło się bez wypadku.

— **Elektryczny piec martenowski** w hucie Ostrowiec, w którym nastąpiło zwarcie właśnie podczas zdjęć.

O czym marzą? Wszyscy: o chwili, gdy znikną wożące ich samochody „Nysa" i „Robur". Chociaż... kilkaset kilometrów przejechanych w takim samochodzie pozwala zapomnieć o wszystkim. Nawet o tym, że się jest... No właśnie, czym? Skrzynią? Beczką? Bo na pewno nie „malarzem filmowego kadru", czy „poetą żywego obrazu".

Szkoło, szkoło...

„Szkoła dwóch dziewcząt" Tadeusza Chróścielewskiego jest jedną z piękniejszych powieści o tematyce łódzkiej, a poza tym jest to proza tak plastyczna, że na dobrą sprawę może być gotowym scenariuszem filmowym. Rozdziały — dni układają się w przejrzysty ciąg scen skrzących się przepysznym dialogiem, narracja jest miejscami wprost dyspozycją dla operatora... **„Ratusik z zegarem, podcięty smugą intensywnej czerwieni, która właśnie pod wieczór nabrała odcienia sarmackiego amarantu, wydawał się bielszy i smuklejszy".** Albo **„Skwer i czerwone gmaszysko medyczne, przed którym między tyczkami po cukrowym groszku studenci na przemian to rżną w oko, to ciskają płaskimi kamyczkami w kierunku uczących się studentek. Po drugiej stronie — czterech straszliwie uśmiechniętych atlantów ugina się pod ciężarem nie tak znów dużego balkonu. I znów park...".**

I tak strona po stronie są w powieści Chróścielewskiego piękne, kolorowe, plastyczne obrazy miasta. Nikt — jak dotąd — nie podjął się jednak ekranizacji tej świetnej powieści.

Podjęto natomiast próbę realizacji widowiska telewizyjnego opartego na wątkach **„Szkoły dwóch dziewcząt"**. Piszę „na wątkach", bowiem adaptator, **Władysław Orłowski,** musiał w scenariuszu zrezygnować z wielu postaci i spraw.

Ponadto reżyser **Jerzy Hoffman** (ale nie ten od „Trędowatej") włączył w widowisko sporo sekwencji filmowych zmontowanych z archiwalnych kronik i materiałów Czołówki Filmowej. Zabieg ten był konieczny dla zarysowania atmosfery i klimatu owych „dni pierwszych", w czasie których toczy się akcja powieści. Byłoby oczywiście lepiej, aby ów klimat budowały „dokrętki" realizowane z myślą o atmosferze widowiska. Surowy materiał archiwalny sprzed trzydziestu lat podkreślał wartości dokumentalne widowiska, ale nie mógł mu przysporzyć owego klimatu i ciepła, tak charakterystycznego dla powieści Chróścielewskiego.

Widowisko **„Zatańczmy, panie profesorze"**, oparte na powieści **„Szkoła dwóch dziewcząt"**, zrealizowano łość dawno. W roli prof. Sokołowskiego widzieliśmy zatem zmarłego przed rokiem wybitnego aktora, **Feliksa Żukowskiego,** który tą kreacją raz jeszcze — pośmiertnie — ukazał nam całą gamę swojego kunsztu aktorskiego. Postać Sokołowskiego narysowana jest w powieści niezwykle wyraziście, jej pierwowzorem był przecież **prof. Kułakowski,** ówczesny kierownik Katedry Rusycystyki UŁ, gdzie Chróścielewski był wonczas asystentem. Także i w widowisku telewizyjnym ta postać wypadła — dzięki autorowi i dzięki nieżyjącemu dziś artyście — najlepiej i najcieplej.

Zapisały się w pamięci także kreacje **Bielskiego, Zintla, Zdrojewskiego.** A nade wszystko pozostała owa urokliwa atmosfera i nastrój, które z kart powieści przedostały się także na szklany ekran. Ci, którzy znają powieść, mają świadomość niedosytu, jaki pozostawiło widowisko **„Zatańczmy, panie profesorze"**. Książka jest o wiele bogatsza i o wiele głębsza, ale... Taki jest chyba los wszelkich adaptacji.

Dobrze jednak, że podjęto tę próbę przeniesienia na mały ekran jednej z najciekawszych powieści o Łodzi pierwszych lat wolności.

Jeśli już jesteśmy przy sprawach szkoły, nie mogę się oprzeć pewnej refleksji. Otóż w programie „Na kogo popadnie" wystąpiły trzy studentki, które nie wiedziały, co znaczy „Veni, vidi, vici", „De gustibus non dysputandum est" oraz „Homo homini lupus". Uczennice z wojennego pokolenia w powieści Chróścielewskiego na pewno nie splamiłyby się taką kompromitacją. Niestety — następne pokolenia młodzieży zostały, chyba już definitywnie, odcięte od przepastnych źródeł kultury łacińskiej.

Telewizyjna konfrontacja dwóch pokoleń młodzieży — tej z powieści Chróścielewskiego sprzed trzydziestu laty i tej ze stołecznych uczelni dzisiaj — wypadła dla warszawskich studentek raczej smutno.

TELEMAN

KSIĄŻKA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

CIENIE NA PIASKOWEJ GÓRZE

Nowa powieść Tadeusza Papiera — „Cienie na Piaskowej Górze" stanowi, jak sądzę, pozycję szczególną, wyróżniającą się w bogatym przecież dorobku prozatorskim autora. Jest kolejnym tomem chłopskiej sagi, że przypomnę poprzednie tytuły — „Powtórna śmierć Boryny", „Dziadek i róża", „Narodziny Gerty", „Ciche jeziora", ale tomem, jeśli się nie mylę, zamykającym całość dziejów szeroko rozgałęzionego klanu.

Na tle tej części literatury, którą krytycy umieszczają zazwyczaj w tak zwanym „nurcie wiejskim", proza Tadeusza Papiera zaleca się dojrzałością, głębokim rozumieniem skomplikowanych związków wzajemnych zachodzących w tradycyjnej i współczesnej rodzinie chłopskiej. Jest to dzisiaj klan otwarty, zasilany, bogacony przez nowych ludzi, bardzo już odległy od dawnego świata zabitego deskami, zamkniętego w kręgu jednej wsi, parafii i najbliższej okolicy. Klan współczesny, składający się z ludzi rozmaitych zawodów — rolników w pierwszym rzędzie, ale także inżynierów, naukowców, nauczycieli, lekarzy, studentów, strzegących zgodnie i wiernie swojej rodzinnej spoistości.

Aby ów skomplikowany proces kształtowania się więzi rodzinnej ukazać, posługuje się Papier albumem rodzinnym. Wyblakłe, niekiedy już mało ostre, to znów całkiem wyraźne fotografie, dokumenty rodzinne, stare dowody osobiste, świadectwa narodzin, ślubów i zgonów, listy, stare paszporty z carskich jeszcze czasów, symbolizują niejako instytucję pamięci. Jeden z członków klanu powiada: „Widziałeś bracie, jak się przejąłeś, kiedy wziąłeś do ręki stary paszport ojca wydany jeszcze przez cara. Tam jest odcisk palca twojego ojca... Jest to, mówiłeś, fizyczny ślad, który zostawił ojciec. Można ten ślad pocałować jak rękę".

Pamięć rodzinna to tyle co skarbiec domowy, ale skarbiec bynajmniej nie strzeżony, dostępny każdemu z członków klanu. Można w nim znaleźć niemal gotowe wzorce postępowania w trudnych sytuacjach życiowych, kiedy trzeba dokonywać trudnych wyborów, rozstrzygać szybko o dalszych losach swoich i najbliższych. Można w tym skarbcu, który uzupełniają w każdym roku nowe doświadczenia pokoleń, znaleźć przykłady cichej i bezinteresownej wierności, odwagi, uporu w realizowaniu osobistych i klanowych planów, odkryć mądrość dynastycznej niejako polityki ojców, zatroskanej o całość rodziny, niepowodzenia upadki, szczęścia i nieszczęścia.

Pamięć w ujęciu Papiera zyskuje charakter aktywny, jest tak potrzebna członkowi klanu jak ziemi deszcze i słońce, pomaga bowiem żyć, podsuwa gotowe i sprawdzone sposoby postępowania. Ale — i to jest ważne — każdy członek klanu bez względu na miejsce w którym żyje i zawód — powinien wzbogacać ów skarbiec domowy najcenniejszymi przeżyciami, aby je można było spożytkować.

Autor „Cieni na Piaskowej Górze" wierzy, że poprzez dzieje klanu biegnie nieustannie sztafeta pokoleń. Starsi przekazują młodszym ów skarbczyk, wzbogacany o doświadczenia każdej kolejnej epoki — dawnej nędzy chłopskiej, wojny, odbudowy, czy też wielkiego awansu. Przekazywane doświadczenia, dramaty osobiste, klęski i zwycięstwa są z jednej strony intymne i niepowtarzalne. Z drugiej wszakże strony mieszczą się w dziejach ogólnych, ilustrują los polskiej wsi od schyłku ubiegłego wieku po dzień dzisiejszy, można je więc spożytkować w każdej sytuacji zgodnie z prawami rozwoju.

„Cienie na Piaskowej Górze", jak zresztą i poprzednie pozycje cyklu, to powieść bardzo polska, mocno akcentująca historię naszej wsi. Dochodzą nas jeszcze echa walk powstańczych na kieleczczyźnie, słychać buntownicze słowa księdza Ściegiennego. Papier przypomina także nieliczną jeszcze w okresie międzywojennym młodzież chłopską, która przebiła się do kieleckich szkół średnich, aby pod wpływem Żeromskiego podjąć nieśmiałe próby walki z biedą i zacofaniem. Nie brak w relacjach członków klanu postaci autentycznych z tamtych lat, co jak sądzę — podkreśla autentyczność doświadczeń bohaterów. Przypomina wojnę z faszyzmem, a po wojnie wprowadza do powieści obok kieleckich także i mazurskie wątki. To powojenne już zrastanie się ludzi Świętokrzyża z Mazurami w jedną rodzinę wydaje mi się szczególnie pasjonujące i chyba odkrywcze. Kieleccy chłopi podjęli walkę o spokój na Mazurach, a ową jedność pokoleń walczących i budujących symbolizuje pomnik na Piaskowej Górze.

Podoba mi się język powieści Tadeusza Papiera, równie prosty co i dojrzały. Książka, podobnie jak poprzednie, zbudowana jest na anegdocie, bez wiodącej fabuły. Trudna to sztuka napisać powieść wciągającą czytelnika przy takim właśnie założeniu. A jednak „Cienie na Piaskowej Górze" czyta się z rosnącym zainteresowaniem. Zapewne dlatego, że każda anegdota, przypomnienie dawnego zdarzenia, wynika z poprzedniej i zapowiada następną, a przede wszystkim bogaci ów szeroki, panoramiczny obraz dziejów dawnych i dzisiejszych naszej wsi.

Tadeusz Papier „Cienie na Piaskowej Górze". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa 1976.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

APOKRYF APOKALIPTYCZNY

Najnowsza książka Leona Gomolickiego jest tryptykiem złożonym z opowiadań bardzo spójnie do siebie przylegających. „Wino z roku konsula Torkwata", „Dialog" i „Traktat o wyspach" noszą wszystkie cechy dotychczasowych ambitnych dokonań Gomolickiego.

Jego sztuka pisarska polega między innymi na tym, iż rozpatrywane są w niej bez przerwy te same podstawowe sprawy. Czas w tych utworach jest dwuwymiarowy — zasadza się na ustawicznej konfrontacji teraźniejszości z przeszłością — i pozostaje niewymierny podziałką zwykłego kalendarza. Miarą jest „żywa tkanka" — czas subiektywny, czas pamięci refleksyjnej i intelektualnej. Jedyny i bardzo ostry podział na teraźniejszość i przyszłość w twórczości autora „Uprowadzenia Baucis" nastąpił w miejscu „oplecionym zasiekami drutów podłączonych do prądu wysokiego napięcia". Destrukcyjna głębia tej cezury zamieniła historyczną abstrakcję na konkret poznania: „Dopiero gdy zobaczyliśmy na niebie i ziemi znaki okupacyjnej apokalipsy, dostąpiliśmy łaski wtajemniczenia. Wydawało się nam wówczas, że przeżywamy rzeczy nie widziane od pierwszego dnia stworzenia, gdy w rzeczywistości były one powszechnością na dziejowych zakrętach. Kiedy palą się miasta, upadają państwa, nastaje sąd ostateczny wojen i obozów zagłady, a potem na omytej wodą potopu ziemi znów zaczyna powoli plenić się życie i martwi w postaci obozowych muzułmanów wychodzą z grobów — ta wizja pozostanie w pamięci współczesnych na zawsze. Wizją masowości ludzkiej zagłady i ludzkiego zmartwychwstania — tłum wychudłych ciał, rozpaczliwie czepiających się życia, aby tylko nie wrócić do grobu. Nie wiedziałem, że podobne okoliczności sprzyjają wznowieniu urwanych dialogów".

Do miejsc wspólnych (loci communes) europejskiej kultury należy apokalipsa. Zapowiedzi cierpień i następującego po nich triumfu towarzyszą ludzkości od czasów starożytnych. Motyw ten jest nieodłączną częścią twórczości Leona Gomolickiego. Prorocze księgi apokaliptyczne pełne były symboliki, obfitowały w aluzje. Bez aluzyjności i mitologicznej symboliki nie byłoby też prozy Gomolickiego. Nie jest to proza łatwa, często wymaga egzegezy. Stąd nie bez przyczyny kojarzyć się może z apokaliptycznym apokryfem, oczywiście nie mistycznym, jak to zazwyczaj bywało, a w najwyższym stopniu intelektualnym. Narrator przedziera się bowiem przez mitologię śródziemnomorską i arcydzieła literatury światowej, nadając wydarzeniom, w których uczestniczył, walor uniwersalności. Symboliczne postaci (Whitman, Einstein, Hermes, Salomon, Faust) odnoszą faustowskie odkrycie piękna chwili i znalezienie celu życia do wytwarzania „materii intelektualnej". Zaś Salomon, uosobienie mądrości, kieruje ich myśli ku wyspom szczęśliwym, marzeniom nadającym sens wszystkim poczynaniom.

Książki Gomolickiego są w istocie dialogiem pamięci i wyobraźni, inspirują się one wzajem i torturują. W ten sposób dokonuje się powolny zwrot w stronę trzeciego wymiaru czasu — przyszłości. Gdyż wysepki utopii przy dokładniejszym poznaniu okazać się mogą ogromnym lądem. O ile ludzkość potrafi tam dotrzeć przy pomocy pomyślnego wiatru historii.

Narrator „Tańca Eurynome", karmiony od najmłodszych lat „zastałym winem humanizmu", odznacza się wyjątkową wrażliwością i świadomością artystyczną. Korzysta z przysługującego mu przywileju kreatora i terapeuty, ale jednocześnie jest świadom, że literatura to w gruncie rzeczy słowa, i że jego traktaty moralne mogą być co najwyżej apokryfami. Mimo to ogromną wagę przywiązuje do słów, którymi odtwarza i stwarza świat. Bo tylko słowem może „poruszyć sumienie świata". Nocą wierzy w sztukę i jej oczyszczające działanie, w dziennym świetle wydaje mu się to banałem. A więc ustawicznie obraca się w kręgu niepewności i poszukiwania czegoś stałego: epizody życia i próba ich syntezy, rebus zdarzeń i filozoficzne jego rozwiązywanie. Właśnie rozwiązywanie, czynność ciągła — wciąż nowe nadawanie znaczeń tym samym treściom.

L. Gomolicki, Taniec Eurynome, PIW, Warszawa 1976, nakład 7 000 + 290 egz., cena zł 20.—

REPORTAŻ ZAGRANICZNY — LONDYN

ANDRZEJ GRUN

HENRY I ZOFIA

Do Tate Gallery wstępowałem na Turnera jak do pubu wstępowałem na kufel mannsa. Manns jest ciężkim, gorzkim, porterowym piwem; Turner „morski" cudownie lekkim, w mgle różowo-czerwono-pomarańczowo-błękitnego światła, malarzem. I piwo i Turner miały wyjątkowo dobry smak w tę późną jesień. Do Tate szedłem zwykle od Westminsteru, nabrzeżem Tamizy (kawał drogi), a przeciągi, które hulają wzdłuż rzeki uderzały mnie raz w plecy, raz w twarz wilgotnymi smagnięciami, w których czuć było to zapachy korzenne, (aż tutaj dowiewał je wiatr z magazynów w dokach), to znowu portowo-rzeczny smród olejów i smarów, a to dla odmiany dym z kominów z drugiego brzegu. Mimo chłodu, a nieraz i mżawki, ohydnego kapuśniaku, wolałem drogę wzdłuż Tamizy, z rozległą panoramą przeciwnego nabrzeża, niż wędrowanie od stacji Victoria, albo bliższej Pimlico brzydką, zabudowaną wielorodzinnymi domami z czerwonej cegły Vauxhall Bridge Road, przygnębiającą o tej porze roku swą beznadziejną monotonią. Zresztą przed spotkaniem z Turnerem można było trochę zmarznąć; rozgrzewał. I jak jeszcze.

W Tate są trzy duże sale Turnera (same oleje ułożone w ciągu chronologicznym), masa obrazów, z których dwie trzecie można sobie śmiało darować, można śmiało przejść mimo „Turnera od Claude Lorraina". Dalej jest już Turner prawdziwy, jedyny, Turner mgieł, morza, światła. Zdumiewające — miał około sześćdziesiątki, kiedy zaczął malować swoje najwspanialsze obrazy. Umierając, zapisał w testamencie narodowi 362 obrazy olejne i 19 tysięcy akwarel, szkiców, rysunków, notatek. Umarł mając lat 76. Był tytanem pracy, znakomitym malarzem i piekielnie zarozumiałym facetem.

Miałem szczęście. W czasie mojej bytności w Londynie, w British Museum otwarto wielką wystawę akwarel i szkiców Turnera. Po raz pierwszy w życiu stałem w „kolejce do sztuki". Czasu spędzonego w tej akurat kolejce (ponad 5 godzin) nie żałuję. Fascynujące są szkice Turnera w małych kieszonkowych notatnikach; niewielkie akwarele z późnego okresu. Oglądając je miałem wrażenie, że jestem dopuszczony bardzo blisko jakiejś wielkiej tajemnicy, że wystarczy tylko wyciągnąć mi rękę i... Szkicowniki leżały w gablotach za szybami. Kilka razy jeszcze szedłem nabrzeżem Tamizy, od Westminsteru do Tate, do Turnera. Tajemnica pozostała tajemnicą. I dobrze.

W jednej z sal Tate Gallery (sala nr 13) mieści się kolekcja sztuki brytyjskiej z lat 1890-1930. Nudna. Zaglądałem tam, idąc od Turnera, dla trzech niewielkich rzeźb odlanych w brązie. A właściwie dla nazwiska ich autora, które intrygowało: Henry Gaudier-Brzeska. Spotykałem się z tym nazwiskiem wcześniej w monografiach i opracowaniach tyczących się Wielkiej Awangardy sprzed I wojny, ale nie wiedziałem nic bliższego ani o samym artyście, ani tym bardziej o pochodzeniu nazwiska, które wydało mi się dostatecznie dziwne i pachniało mi Polską. Zacząłem szukać, pytać. I znalazłem. Znalazłem historię romantyczną i banalną zarazem; patetyczną i groteskową. Taką, jaką może napisać tylko samo życie.

Henry Gaudier urodził się w 1891 roku w rodzinie o bogatych i starych tradycjach rzeźbiarskich. Jego ojciec parał się stolarką artystyczną i snycerstwem, a któryś z jego przodków, wedle rodowych przekazów, był kamieniarzem pracującym przy rzeźbach do katedry w Chartres. Henry urodził się w okolicach Orleanu, w miejscowości St. Jean de Braye i w młodości dużo podróżował po Europie, zapełniając rysunkami i studiami całe tomy szkicowników. Rysował bardzo dobrze, a z czasem zaczął i on również interesować się rzeźbą.

W 1910 roku znalazł się w Paryżu. Tu poznał niejaką Zofię Brzeską, kobietę o dużym doświadczeniu, już rozczarowaną i zmęczoną życiem, o 20 lat starszą od siebie. Zofia urodziła się w średniozamożnej rodzinie ziemiańskiej, w okolicach Krakowa. Wśród licznego rodzeństwa była jedyną dziewczynką, niekochaną przez rodziców, niemal niedostrzeganą. Oddana do klasztornej szkoły, wychowywała się właściwie poza domem, a kiedy po jej ukończeniu powróciła doń, czekał już na nią kontrahent do ręki, bogaty, stary Żyd. Chciano się co rychlej pozbyć dziewczęcia z domu, możliwie na najlepszych warunkach. Małżeństwo nie doszło co prawda do skutku, ale nękana coraz to nowymi propozycjami matrymonialnymi, panna opuściła na koniec rodzinne pielesze i wyjechała na studia do Krakowa, a potem do Paryża i dalej, do Ameryki, lecz tym razem już nie w charakterze studentki, a guwernantki, wychowawczyni, damy do towarzystwa, bony. Niebawem powróciła znowu do Paryża, po licznych rozczarowaniach i przykrościach, które nie pozostały bez wpływu na jej stosunek do świata, ludzi i samej siebie.

W Paryżu, w Bibliotece św. Genowefy, Zofię Brzeską, zajętą studiowaniem literatury i języków spotkał Henry Gaudier. Oboje byli samotni, spragnieni miłości, przyjaźni i ludzkiego ciepła. Gaudier, z całą impulsywnością swej młodości, zakochał się w Zofii; ona, mimo nieufności i niechęci do mężczyzn, uległa przecież temu młokosowi, który z taką żarliwością, klęcząc u jej stóp, mówił jej, że jest najpiękniejszą i jedyną na całym świecie. Postanowili żyć razem, a biorąc ślub wobec samych siebie, połączyli swe nazwiska. Tak powstało nazwisko Henry Gaudier-Brzeska.

Ta dziwna para, którą dzieliło wszystko: doświadczenie życiowe, różnica wieku, widzenie i pojmowanie świata, a która niezbadanym zrządzeniem losu skazana została mimo to, na siebie, postanowiła wyjechać do Londynu. Gaudier musiał zresztą wybierać: albo służba wojskowa w armii francuskiej, albo ucieczka za granicę. W Londynie, w nędznych pracowniach w Chelsea, wiedli żywot więcej niż ubogi. Samotni, praktycznie bez środków do życia, wegetowali z dnia na dzień. On rzeźbił, przyjmując swój los, jako najzwyklejszy los artysty. Ona podejmowała się najróżniejszych prac, jakie tylko mogła otrzymać. Oboje wierzyli, że Henry jest wielkim rzeźbiarzem. Życie ich było piekłem z odrobiną nieba. Przyczyniały się do tego przede wszystkim ich trudne, różne charaktery, a także nieustanne borykanie się z trudnościami materialnymi. Gaudier pracował zapamiętale, jakby przeczuwał, że niewiele ma przed sobą czasu.

Wybuchła wojna. Gaudier-Brzeska, który uciekał od służby wojskowej do Anglii, zgłosił się na ochotnika. Zginął na froncie francuskim 5 czerwca 1915 roku, w ataku na Neuville St. Vaast. Miał opinię bardzo odważnego.

A Zofia? Cios był ponad jej siły. Doprowadziła jeszcze do zorganizowania pośmiertnej wystawy w Leicester Galleries i zamieszkała następnie w okolicach Gloucester. Po paru latach zmarła w szpitalu dla obłąkanych. Zajmowała się pisaniem powieści, ale z jej dorobku pozostały tylko pamiętniki, które posłużyły przyszłym biografom Henry Gaudier-Brzeski za jedno z głównych źródeł informacji o jego życiu. Pozostał też pakiet listów pisanych z frontu do Zofii, angielszczyzną inkrustowaną jak perełkami, polskimi wyrazami: Zofia, Zosieńka, Zosik, Zosia, Matuchna, Dziecko ukochane...

Henry Gaudier-Brzeska uznany został po śmierci za wielkiego rzeźbiarza. Pierwsza jego biografia napisana została przez H.S. Ede i nosi tytuł „Dziki Mesjasz". Następną napisał Marceli Brodzki, Żyd polski, malarz i wierny przyjaciel obojga Brzeskich. Trzecią — wielki poeta Ezra Pound. Po drugiej wojnie wydano o nim jeszcze kilka książek i albumów. Sporo informacji znalazłem także w książce Jana Dąbrowskiego „Z Anglikami na co dzień". Rzeźby Gaudiera-Brzeski znajdują się w Tate Gallery i w Victoria i Albert Museum, rysunki w British Museum, w zamku Fontana Castle we Włoszech, gdzie przebywał po wyjściu na wolność Ezra Pound, obok dzieł Picassa i Brâncusiego.

Był rzeczywiście znakomitym rzeźbiarzem, w którym ożyły i doszły najpełniej do głosu pokolenia kamieniarzy i snycerzy. W swoich kompozycjach znakomicie oddawał ruch i indywidualne wartości materiału, w którym pracował. Rysunki jego odznaczają się śmiałością, precyzją i oszczędnością linii. Był jednym z Wielkiej Awangardy, której szeregów wojna nie oszczędziła. Przeciwnie. Apollinaire, Cendrars, Hulme, Gaudier-Brzeska.. och, raczej trzeba by wymienić tych, którzy z tego „pijanego burdelu" (słowa Cenerarsa) wyszli bez szwanku.

Niemal w przeddzień mojego wyjazdu z Londynu w księgarniach ukazał się album z rysunkami Gaudiera-Brzeski. W tej samej serii wydano Picassa, Salvadora Dali, Moora, Camoina i innych. Jeden z rysunków przedstawia twarz kobiety o ostrych rysach, włosy zaczesane w dwa węzły zakrywające uszy, oczy podkrążone, wysokie czoło, wyraźnie zarysowane drobne usta, wyraźny podbródek. Podpis: Zofia. Portret emanuje smutkiem, wewnętrzną zgodą, ale i jakąś determinacją zarazem.

Rys. Andrzej Grun

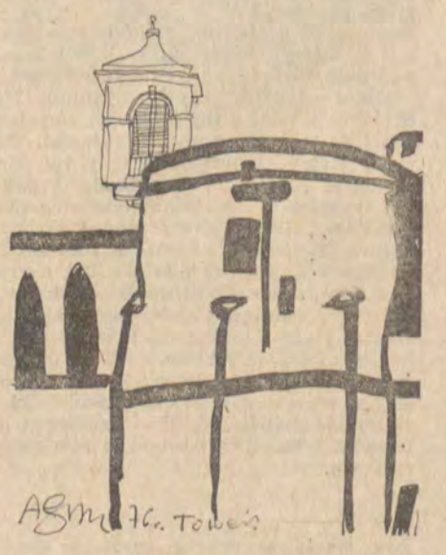

U PRZYJACIÓŁ

W bieżącym roku 70 rocznicę urodzin obchodzi wybitny uczony radziecki — historyk i filolog — prof. Dymitrij Lichaczow.

Ogromną zasługą dla literatury radzieckiej były prace profesora dotyczące literatury staroruskiej.

Literatura rosyjska liczy sobie około tysiąca lat. Z tej liczby na piśmiennictwo staroruskie przypada lat siedemset. Tak ogromny okres jest dla badaczy wprost gigantycznym i trudnym do spenetrowania. Do niedawna mimo niewątpliwych osiągnięć w tej dziedzinie, bezcenne skarby tej literatury pozostawały dostępne tylko niewielkiemu gronu specjalistów. Było to zrozumiałe, jeżeli przypomnimy sobie o trudnościach językowych jakie musiał pokonywać ewentualny czytelnik tej literatury. Poza tym, aby właściwie zrozumieć i zinterpretować utwory staroruskie wymagane są często różnego rodzaju badania historyczne i filologiczne, co nie zawsze jest możliwe do wykonania przez nieprzygotowanego odbiorcę. Jedynym wyjściem było przygotowanie dobrych podręczników i opracowań źródłowych do tej literatury. Podjął się tego Dymitr Lichaczow wraz z grupą radzieckich uczonych. Dzięki nim literatura ta stała się dostępna i bliska wszystkim. W wyniku długotrwałych i żmudnych prac polegających na zbieraniu zabytków piśmiennictwa, badaniem ich pod względem historycznym, tekstologicznym, lingwistycznym powstała rosyjska szkoła filologiczna, która według ogólnej opinii zajmuje czołowe miejsce w całej światowej slawistyce.

Literatura staroruska stała się dostępna dla wszystkich, dzięki niej możliwe jest poznanie czynów i dokonań przodków nie tylko z przekazu historycznego, ale z relacji samych świadków tych wydarzeń. Bez mała pięćdziesięcioletni dorobek Lichaczowa zamyka się — jak dotąd — setkami artykułów i książek, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić „Powstanie literatury rosyjskiej", „Człowiek w literaturze staroruskiej", „Wielkie dziedzictwo". Jakościowo jest to cały system estetyczny, wywodzący się ze spuścizny sławnego historyka rosyjskiego F. Busłajewa oraz uczonych radzieckich tej miary co, A. Orłow, W. Andrianowa-Peretz i J. Ermin.

Właśnie dzięki pracom Lichaczowa raz na zawsze rozwiany został mit o „niekomunikatywności" i „martwocie" literatury staroruskiej, która w pracach prof. Lichaczowa ukazała się jako twór pełny życia i barw, fascynujący serca i umysły. Np.: przez długie lata zarówno rodzimi jak i zagraniczni sceptycy poddawali w wątpliwość autentyzm „Słowa o wyprawie Igora". Dzięki wnikliwym badaniom Lichaczowa i ten mit został w pełni obalony.

Niewątpliwie Dymitrij Lichaczow to uczony klasy światowej — literaturoznawca, historyk, lingwista, tekstolog, folklorysta. Nie należy jednak zapominać, że jest to także pisarz dużej miary. Każda jego nowo wydana książka znika błyskawicznie z półek księgarskich, właśnie po nie ustawiają się kolejki. Wynika to niewątpliwie z wartości merytorycznych dzieł, ale czy tylko. Wszystkie książki prof. Lichaczowa poza cennymi wiadomościami z zakresu historii literatury dostarczają czytelnikowi wiele przeżyć estetycznych, pisane są bowiem pięknym językiem i niepowtarzalnym stylem mistrza.

* * *

Także 70 rocznicę urodzin obchodzi w tym roku popularny aktor Erwin Geschonneck.

E. Geschonneck członek Akademii Sztuk Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz Prezydium Stowarzyszenia Twórców Filmowych i Telewizyjnych, pięciokrotny laureat nagród państwowych NRD, należy do najwybitniejszych aktorów w kraju naszych zachodnich sąsiadów. Występował w słynnej inscenizacji sztuki Bertolda Brechta „Pan Puntila i jego sługa Matti".

Z okazji rocznicy urodzin w telewizji NRD wyświetlano film premierowy reżysera Ulricha Theina „Ein altes Modell" (Stary model), w którym E. Geschonneck gra główną rolę.

„Ostrożność, wstrzemięźliwość, niepokój, chęć dotarcia do sedna sprawy, innymi słowy — próby ponownego odkrycia na własny użytek podstawowych praw egzystencji, realizm, wyrażający się w gotowości do walki z trudnościami, w zrozumieniu faktu, że łatwych rozwiązań nie ma. Rzeczywistość odmalowana w o wiele bardziej spokojnych kolorach, niż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Wygląda na to, że wydoroślelismy" — tak uogólnia obecne nastroje Amerykanów w bardzo niedawno opublikowanym sprawozdaniu jedna z wielkich amerykańskich agencji badania opinii publicznej.

USA

CO TRAPI AMERYKANÓW

Następstwa amerykańskiej wojny w Wietnamie, wielki spadek ekonomiczny, skandale polityczne w kraju — wszystko to spowodowało, iż sytuacja kryzysowa w przeróżnych dziedzinach życia w Stanach Zjednoczonych stała się zjawiskiem chronicznym. Wywołuje to nie tylko niezadowolenie Amerykanów z polityki kół rządzących USA, lecz także brak wiary w kapitalistyczny system socjalny.

Zmiany jakie nastąpiły w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich 16 lat wskazują wyraźnie, co obiecują i czym grożą nadchodzące lata — pisze komentator polityczny „US News and World Report". Amerykanin przeniesiony nagle z roku 1961 w rok 1977 dostrzegłby od razu, że w USA wiele zmieniło się na gorsze. Zabierając się do czytania gazet i magazynów czy też włączając telewizor, Amerykanin „wczorajszego dnia" zostałby porażony mnóstwem aktów gwałtu. Przeczytałby na przykład, że w Detroit, w wyniku wybuchowej sytuacji i rozpasania bandytyzmu wprowadzono w mieście stan wyjątkowy, że tymi środkami nie da się jednak rozwiązać problemów rodzących wzburzenie i przestępczość nie tylko w Detroit, lecz także w innych dużych i małych miastach USA. Wstrząsnęłyby nim informacje o katastrofalnym bezrobociu. Zaszokowałaby go sytuacja w gettach murzyńskich i dzielnicach nędzy, w których gnieżdżą się bezdomni imigranci, jak na przykład w południowym Bronxie, czy też artykuły i reportaże zamieszczane w niektórych periodykach, gęsto przeplatane niecenzuralnymi zwrotami i częstokroć ilustrowane golizną. Doznałby nieprzyjemnego wstrząsu dowiadując się, że za szklankę kawy, która w 1961 roku kosztowała 74 centy, płaci się dziś blisko 3 dolary, a dom oceniany 16 lat temu na 40 tysięcy dolarów, kosztuje teraz 100 tysięcy a nieraz i więcej. Albo nieporządki w miastach komunikacyjne korki na nowych szosach okólnych i magistralach szybkiego ruchu, jeszcze bardziej zagęszczony smog, dławiący dziś już nie tylko miasta, lecz także opustoszałe przedmieścia i osady podmiejskie, z których uciekają ludzie nękani przez bandytów, hulających bez przeszkód po ulicach amerykańskich miast itd., itd.

Widząc tego rodzaju przemiany ów „przybysz z 1961 roku" miałby pełne prawo zapytać: w jaki sposób doszło do tego w Stanach Zjednoczonych?

Statystyka daje odpowiedź zawierającą tylko pół prawdy: stagnacja w rozwoju ekonomiki, jak również różne konflikty socjalne miały miejsce przede wszystkim po 1968 roku, co się zbiega z początkiem ośmioletnich rządów republikanów w Białym Domu. Ale treścią drugiej połowy prawdy — twierdzą znawcy sprawy — jest niezaprzeczalny fakt, że zjawiska kryzysowe, ujawniające się po 1968 roku, dojrzewały już od dawna. Ściślej mówiąc — są one następstwem błędów popełnionych w początkach lat sześćdziesiątych, kiedy ci którzy planowali politykę amerykańską, wychodzili z założenia, iż potęga USA nie ma granic i że są oni zdolni do prowadzenia jednocześnie — wymagającej ogromnych wydatków — wojny „z wojskami komunistycznymi" w Wietnamie i wojny z nędzą u siebie w domu.

Błędne założenia kosztowały dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, poważnie nadwyrężyły skarb państwa, wyczerpały główne źródła bogactwa, zawiodły nadzieję mieszkańców kraju. Gdy Amerykanie uświadomili sobie fakt, iż próby znalezienia szybkiego rozwiązania zastarzałych problemów z reguły nie prowadzą do niczego dobrego, umocnili się w swoim sceptycyzmie. Płatnicy podatków są niezadowoleni z gwałtownego wzrostu wydatków państwowych, w których ogromną część stanowią wyjątkowo wysokie świadczenia na utrzymanie aparatu administracyjnego, nie mówiąc oczywiście o fantastycznych wydatkach na zbrojenia. Reformy gonią jedna drugą.

Kampania o czystość wody i powietrza rodzi obawy, że wysokie koszty urządzeń oczyszczających wyśrubują ceny na towary i zwiększą inflację. Prawo ludzi do zachowania tajemnic ich prywatnego życia popada w konflikt z prawem społeczeństwa do poznania prawdy i prawem policji do prowadzenia walki z przestępczością.

Obserwatorzy życia politycznego w USA uważają, iż zmierza ku końcowi cały poprzedni etap w politycznym życiu Stanów Zjednoczonych, zapoczątkowany dniem „wielkiego oczekiwania" — 20 stycznia 1961 roku, kiedy to John Kennedy, obejmując stanowisko prezydenta USA powiedział: „Zapłacimy każdą cenę, weźmiemy na siebie każde brzemię, pogodzimy się z każdym wyrzeczeniem, poprzemy każdego przyjaciela i nie uchylimy się od walki z żadnym przeciwnikiem — w imię zachowania i rozkwitu wolności".

Od tego czasu Amerykanie przeżyli wojnę w Wietnamie, która zrodziła zamęt i rozłam w USA, przeżyli krwawe rozruchy na uniwersytetach i w miastach, haniebne skandale w tzw. wyższych sferach, energetyczny kryzys i najgłębszy ekonomiczny spadek od czasów „wielkiego kryzysu" lat trzydziestych.

W tym 16-letnim okresie najcięższych doświadczeń ani jeden z prezydentów nie zdołał pozostać u władzy przez dwie pełne kadencje. Jednego dosięgły kule mordercy. Wzbierająca fala niezadowolenia zmusiła drugiego do rezygnacji z powtórnego wystawienia swojej kandydatury w wyborach. Trzeci, haniebnie skompromitowany, musiał odejść z urzędu, a czwarty doznał porażki w kolejnych wyborach.

20 stycznia 1977 roku złożył uroczystą przysięgę 39 prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter. Uroczystość oglądał i słyszał cały kraj. Teraz Amerykanie oczekują od niego wszystkiego. Jednakże oczom nowych liderów w Waszyngtonie świat przedstawia się inaczej, niż by go widzieli w 1961 roku. Przywódcy Stanów Zjednoczonych — podkreślają komentatorzy pism amerykańskich — będą się teraz musieli liczyć nie tylko z potęgą Związku Radzieckiego. Czekają ich także trudne rozmowy z niegdyś słabymi państwami, które obecnie zyskały możliwość używania takich atutów, jak własne bogactwa narodowe, a ich ruchy narodowo-wyzwoleńcze stanowią dziś potężną siłę.

Wielu Amerykanów, po głębszym zastanowieniu nad problemami nękającymi kraj, zgadza się co do tego, że przed Stanami Zjednoczonymi stoją obecnie takie pierwszoplanowe zadania, jak: w planie strategicznym — rozwój trwałych stosunków z krajami komunistycznymi, a przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim i Chinami, a obok tego jednoczesne ochranianie interesów Ameryki w kluczowych rejonach Trzeciego Świata. W planie ekonomicznym natomiast — poszukiwanie dróg szybszego ożywienia ekonomiki i badania nad znalezieniem nowych źródeł energii.

Amerykański socjolog, E. Etzioni, uważa na przykład, iż rozpatrując przemiany, jakie zaszły w USA od początków 1960 roku można dojść do wniosku, że Amerykanie znajdują się teraz u progu trzeciego etapu procesu dialektycznego. Z początku, w latach rządów Kennedy'ego i Johnsona panował nastrój „hipereuforii": wydawało się, że rząd może bardzo wiele. Później nastąpiło rozczarowanie wywołane wojną w Wietnamie i spadkiem ekonomicznym. Obecnie, jak utrzymuje amerykański socjolog, nastąpił okres umiarkowanego optymizmu, o wiele bardziej ostrożnego stosunku do refeor socjalnych i ekonomicznych, dążenie do przemyślenia tych problemów i uprzedniego zbadania ich ze szczególną dokładnością.

Rany zadane przez Watergate są z pewnością głębokie i nie tak łatwo będzie je zabliźnić, ale dobrze poinformowani amerykańscy działacze polityczni uważają je li tylko za peryferyjne zjawiska ogólnego kryzysu w politycznym życiu USA. Mają oni na uwadze przede wszystkim upadek autorytetu dwóch głównych partii amerykańskich — demokratycznej i republikańskiej.

W świetle nowego spojrzenia na zachodzące procesy Amerykanie zadają sobie pytanie: „Jak osiągnąć pożądane wyniki?" Jeśli nastroje obywateli — utrzymują publicyści amerykańscy — mają być wzięte pod uwagę w nadchodzących latach, to szczególny nacisk trzeba będzie położyć na cele możliwe do osiągnięcia, pozostawiając na uboczu bezpodstawne iluzje, które przyniosły Stanom Zjednoczonym więcej porażek niż zwycięstw.

JERZY CZECH

○ JIMMY CARTER NOWYM PREZYDENTEM STANÓW ZJEDNOCZONYCH
○ ŚWIATOWE ECHA WIZYTY E. HONECKERA W JUGOSŁAWII

20 bm. o godz. 12 wg czasu waszyngtońskiego został zaprzysiężony jako 39 prezydent Stanów Zjednoczonych — Jimmy Carter. Przysięgę przyjął prezes Sądu Najwyższego Warren Burger.

19 bm. kiedy Jimmy Carter przybył do Waszyngtonu, na pytanie dziennikarza: „Co myśli o sobie jako o przyszłym prezydencie?". Odpowiedział: „Myślę, że mam szansę być wielkim prezydentem". Zdanie skromne, a pełne dumy zarazem. Jak będzie naprawdę zobaczymy. Tymczasem pierwsze sądy o prezydencie możemy budować na podstawie uroczystości inauguracyjnych. Zdaniem wielu korespondentów inauguracja ta miała sporo elementów wyróżniających ją od innych, wcześniejszych uroczystości tego typu. Otóż po raz pierwszy od przeszło stu lat w Białym Domu zasiadł przedstawiciel stanów południowych i po raz pierwszy od wielu lat był to przedstawiciel demokratów, dysponujących większością głosów w obu izbach Kongresu. J. Carter także jako pierwszy prezydent nie wystąpił na uroczystości inauguracyjnej w cylindrze i fraku. Poza tym uroczystości te były o około milion dolarów tańsze od identycznych, odbywających się z okazji zaprzysiężenia prezydenta G. Forda.

Wszystkie te na pozór drobne innowacje, dla mieszkańców USA były bardzo ważne i znaczące. Pozwoliły być może odpowiedzieć bodaj na fragment pytania co będzie dalej i czego można się spodziewać? Odpowiedzią na dalszy ciąg tego pytania miało być przemówienie inauguracyjne nowego prezydenta. Oczekiwano nań z tym większą niecierpliwością, że polityczny program nowej administracji właściwie nie został jasno określony w toku kampanii wyborczej.

Jednym z ważniejszych momentów w przemówieniu Cartera było stwierdzenie o włączeniu się rządu do walki o równe szanse dla wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych. „Osiągnęliśmy już wysoki stopień wolności osobistej i obecnie walczymy o rozwój równości szans. Nasze opowiadanie się za sprawami człowieka musi być absolutne. Nasze prawa, piękno naturalne naszego kraju muszą być zachowane. Potężni nie mogą prześladować słabych. Godność ludzka musi być zawsze zachowana".

W polityce wewnętrznej Carter nie obiecywał cudownych posunięć, które zredukowałyby do zera wszystkie trudności gospodarcze. Ale powiedział, że on wraz z całym rządem nie cofnie się przed przedsięwzięciem kroków, które będą miały na celu poprawę istniejącej sytuacji.

Za najważniejsze zadanie w polityce zagranicznej prezydent uznał dążność do ograniczenia zbrojeń. „Zapowiadamy cierpliwość i mądrość w naszych wysiłkach, aby ograniczyć zbrojenia na świecie do takich, jakie są konieczne dla każdego narodu ze względu na jego bezpieczeństwo. Będziemy działać na rzecz ostatecznego celu, jakim jest wyeliminowanie wszystkich broni nuklearnych na całej planecie. Wzywamy wszystkie narody, aby przyłączyły się do nas w walce o słuszną sprawę, ponieważ sukces tych wysiłków oznaczać będzie życie, zamiast śmierci".

W chwili, gdy nowy prezydent J. Carter składał przysięgę, amerykańskie stacje telewizyjne i radiowe nadały na zagranicę specjalne orędzie prezydenta skierowane do całego świata. Warto przypomnieć, że tego typu orędzia nie przekazał żaden dotychczasowy prezydent Stanów Zjednoczonych. W orędziu tym Carter zapewnił światową opinię publiczną, że Stany Zjednoczone dążyć będą do ustanowienia stabilnych, sprawiedliwych i pokojowych stosunków międzynarodowych.

Tyle o pierwszym dniu urzędowania prezydenta J. Cartera. Trudno wyciągnąć z niego jakieś daleko idące horoskopy. Na pytanie wielu Amerykanów i nie tylko, odpowie prezydent w czasie trwania całej kadencji.

* * *

W Jugosławii, wśród korespondentów akredytowanych w Belgradzie nadal pozostaje w centrum uwagi wizyta Ericha Honeckera w Jugosławii.

Również i prasa jugosłowiańska wiele uwagi poświęca tej wizycie. Powszechnie cytuje się fragment toastu prezydenta Tito, który w nim stwierdził, że przyszła współpraca między dwoma krajami będzie bardziej owocna, i że Jugosławia i NRD mogą z ufnością patrzeć na rozwój stosunków wzajemnych. Dzienniki jugosłowiańskie cytują również słowa Ericha Honeckera, który stwierdził, że w czasie rozmów potwierdzona została tradycyjna przyjaźń między dwoma krajami, i że dalej kontynuowana będzie ich wspólna działalność w walce o pokój. „Reuter" powołując się na oficjalne czynniki jugosłowiańskie pisze, że Jugosławia jest zainteresowana we wzroście wymiany turystycznej z NRD.

Relacjonując wyniki wizyty Honeckera w Belgradzie ogólnie podkreśla się, że przyczyni się ona do umocnienia pokoju światowego, a ponadto stwarza stałą i trwała podstawę do dalszego rozszerzenia kontaktów ekonomicznych między obu krajami.

SPORT

FRUSTRACJE

Prasa codzienna doniosła, że w Łodzi młoda dziewczyna, która postanowiła zostać striptizerką nagle, tuż przed debiutem, zrezygnowała z tego zamiaru i wycofała się z obranego zawodu. Fakt ten wywołał różne komentarze, a Bogdan Maciejewski w „Sztandarze Młodych" bardzo długo i zawile nawydziwiał na ten temat. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego fakt, że młoda dziewczyna raz decyduje się rozbierać publicznie w takt muzyki, a później dochodzi do wniosku, że taka „zabawa" ją nie interesuje, tak bardzo zbulwersował felietonistkę „Sztandaru Młodych". A ileż to młodych ludzi decyduje się zostać na przykład włókniarzami, budowlanymi, ślusarzami, wózkarzami, zawiera z przedsiębiorstwem umowę o pracę, po czym nagle rezygnuje i nawet nie raczy o tym zawiadomić tego, z kim się poprzednio umawiali. Starsi — bądźmy sprawiedliwi — też nie lepiej postępują.

To nagłe wycofywanie się z uprzednio zawartej umowy nie omija również sportu. Mnie to nawet nie dziwi. A nie dziwi mnie z tej tylko przyczyny, że sport jest po prostu częścią naszego życia społecznego, dlatego też i tutaj powinny zachodzić takie same dobre i złe zjawiska, jakie zachodzą w całym życiu społecznym. Nie dziwi mnie to, ale wcale nie mam zamiaru z takim zjawiskiem godzić się, ani go pochwalać.

Jeśli człowiek decyduje się na coś w życiu, jeśli wybiera dla siebie określony tryb postępowania, jeśli chce być na przykład — jak synek moich znajomych — bramkarzem, siatkarzem, czy innym sportowcem, to powinien wszystkimi siłami dążyć do osiągnięcia upragnionego celu. Powinien być konsekwentny w swoim postępowaniu. A jeśli postanawia wycofać się, zmienić cel, to są na to takie sposoby, aby i wycofujący się wyszedł z twarzą i inni nic na tym nie stracili.

Jednakże sędziowie, którzy mieli w Katowicach oceniać zawodników uprawiających łyżwiarstwo figurowe, stanęli na innym stanowisku. Sędziowanie jest u nas pracą ponoć społeczną, jest to możliwość spełniania swoich zamiłowań i już tylko dlatego sędziów należy otaczać szacunkiem i darzyć ich uznaniem. Ale ludzie, którzy mieli w Katowicach być arbitrami w sprawdzianie poziomu przygotowania naszych łyżwiarzy za nic sobie mają wszelkie uznanie i możliwość realizowania swoich pasji. Oni po prostu nie przybyli na sprawdzian do Katowic, każąc czekać na siebie zgromadzonym tu zawodnikom i trenerom.

Z lektury starych książek wiem, że był kiedyś taki zwyczaj, który nakazywał każdemu, kto nie może się wywiązać ze swego zobowiązania, przesyłać pisemne wyjaśnienie, usprawiedliwienie wraz z przeprosinami. To było w czasach kiedy jeszcze telefon należycie nie funkcjonował, kiedy do telegrafu było daleko, a pismo wysyłało się umyślnym posłańcem. Ale się wysyłało. Sędziowie, którzy nie stawili się w Katowicach w umówionym terminie, nie znają widać tego zwyczaju. Być może starych książek nie czytają.

Sędzia kojarzy mi się zawsze z człowiekiem statecznym, poważnym, który może być nawet młody wiekiem, ale który charakteryzuje się bogatym doświadczeniem, wielką wiedzą i ma niemal wrodzone poczucie sprawiedliwości. Zawodnik natomiast może być człowiekiem targanym różnymi sprzecznościami, sfrustrowanym, ulegającym wpływom nastrojów oraz dobrych i złych doradców. Sportowiec może nie mieć formy, albo mieć zły dzień, może być kontuzjowany, ale nie może uchylać się od treningu. Nawet wtedy, kiedy jego władze zabronią mu wyjechać za granicę. Teraz mamy coraz więcej sportowców, którym nie wolno jeździć za granicę i słusznie, bo po co tam jeździć.

Do Cetniewa, gdzie odbywa się zgrupowanie polskich piłkarek ręcznych zamiast 18 zawodniczek przyjechało... 7. Niektóre z tych, które nie przyjechały też nie czytają starych książek, czemu się znów tak bardzo nie dziwię, bo też nie wiedzą o tym, że absencja powinna być usprawiedliwiona już choćby tylko dla zachowania dobrych obyczajów. Postanowiono więc w miejsce tych które nie przyjechały powołać kilka innych, młodych i obiecujących. Ale powołano kilka zamiast 11 brakujących.

Jednakże uważam, że nakładanie na sportowców kar w postaci zakazu wyjazdu za granicę jest działaniem ze wszech miar słusznym i jest to najlepsza forma wychowywania trenerów i działaczy sportowych. Co klub dorobi się gwiazdorów, to karę na nich, a działacze i trenerzy będą w takiej sytuacji musieli myśleć o dużym zespole rezerwowych zawodników.

I na koniec, aby niektórym sportowcom nie było smutno, pragnę donieść, że szczecińscy celnicy znaleźli w bańkach z mlekiem 367 butelek spirytusu i 49 wódki. Mleko w bańkach przeznaczone było dla zwierząt, które wiózł z sobą do Skandynawii jeden z polskich cyrków. Spirytus i wódka — oczywiście na handel. Ciekawa jestem, czy tym cyrkowcom też zabronią jeździć za granicę?

BOGDA MADEJ

RELACJE

RON KOVIC
ZABIŁEM KAPRALA

Amfibia zbliżała się do ogrodzonego grubym, kolczastym drutem obozowiska batalionu. Przez cały czas jazdy wewnątrz pojazdu panowała cisza. Nie miał najmniejszych wątpliwości — wszyscy wiedzieli, co się stało. Wiedzieli, że kilka minut temu nacisnął niewielki metalowy spust i przebił pociskiem szyję kaprala. Czuł jak niewidzialna ręka powoli ściska mu wnętrzności. Jego ręce wędrowały w górę i w dół przesuwając się nerwowo po szorstkim drelichu nogawek spodni. Wiedział, że bezwiednie drapie się po nodze wskazującym palcem — tym, którym nacisnął spust.

Później, kiedy dotarli już do kwatery batalionu, zdał krótki raport młodemu porucznikowi, który przyjął go w punkcie dowodzenia.

— Zostaliśmy zaatakowani — mówił patrząc oficerowi prosto w twarz — i cofnęliśmy się trochę.

— Wycofaliście się — poprawił porucznik.

— Tak jest, wycofaliśmy się i dostał ciężki postrzał. Umarł po kilku minutach. Skonał tam na piasku, zanim przyszła pomoc. Załadowaliśmy go do amfibii. Sądzę, że uciekał, kiedy zaczęła się strzelanina. Było ciemno i niewiele widziałem.

— Dobra — rzekł po chwili młody porucznik. — Przyjdźcie do mnie jutro rano z dokładnym raportem. Jaka szkoda, że...

— Tak jest — powiedział i pośpiesznie zasalutował.

Wykonał w tył zwrot i ze ściśniętym gardłem wyszedł z wielkiego bunkra. Obóz rozbity był na piaszczystej równinie i tumany drobnego pyłu wirowały w zimnych podmuchach monsunu.

Spojrzał w ciemną przestrzeń i usłyszał daleki, cichy szum fal Chińskiego Morza. Ścieżkę prowadzącą do jego namiotu tworzyły drewniane pojemniki do amunicji. Szedł po nich jak akrobata po napiętym sznurze, bo w ciemności niczego nie widział wyraźnie. Po omacku odchylił brezentową płachtę. W namiocie było bardzo cicho i tak ciemno jak przed bunkrem dowodzenia. Trzymając w jednej ręce karabin a w drugiej mapnik wśliznął się ostrożnie do środka. Wszyscy już spali — nieruchomi i skuleni pod siatkami moskitier. Podszedł do pryczy, usiadł na niej i nisko pochylił głowę. Panika uderzyła w niego jak rozpędzony i wyskakujący z szyn pociąg, a serce biło jak młotem, kiedy raz po raz pojawiał się przed nim obraz biegnącego ku niemu chłopca u Georgii i raz po raz słyszał gromki trzask jego własnego karabinu wystrzeliwującego na śmierć. Zabiłem go, szepnął do siebie po raz nie wiadomo który.

— On nie żyje! Przynieście go tutaj! — krzyczał ktoś z prawej strony. — Przynieście go, nie widzicie, że dostał?

Ktoś wyskoczył, ktoś pobiegł w kierunku nieruchomego ciała i za chwilę wciągnęli rannego do okopu pełnego wystraszonych, drżących ludzi.

— Doktora, szybko! Gdzie jest sanitariusz?

Ktoś krzyknął, ktoś wrzasnął na całe gardło: — To przecież kapral! Zabili kaprala!

Powoli odwrócił karabin i przytknął lufę do skroni. O Chryste, o, na miłość boską, pomyślał. Dlaczego? Dlaczego? Zaczął płakać, bezgłośnie, bez łez. Dlaczego? Zastrzelę się — przemknęło mu przez głowę. Nacisnę ten przeklęty spust. Czuł, że ogarnia go szaleństwo: w jednej chwili chciał nacisnąć spust, by zaraz potem poczuć w sobie tę niezrozumiałą potęgę człowieka, który zabił. Postawił wreszcie broń na stojaku i nie zdejmując munduru wśliznął się pod moskitierę.

Otworzył oczy, kiedy świt rozjaśnił wnętrze namiotu trójkątem światła wdzierającego się przez wlaz. Ludzie zaczęli się poruszać, przeciągać i podnosić. Właśnie wtedy, zupełnie znienacka przypomniał sobie wczorajsze zdarzenie. To nie był partyzant, uświadomił sobie. Znów wypełniła go ogromna, nieokiełznana fala paniki, bo znów wiedział, że wczoraj w chwili szaleńczego przerażenia zastrzelił jednego ze swoich własnych żołnierzy.

Po śniadaniu poszedł do wielkiego, obłożonego workami z piaskiem bunkra i złożył majorowi meldunek.

— Mieliście ciężką noc, sierżancie — westchnął major unosząc głowę znad zielonych plastykowych map rozłożonych na stole.

— Tak jest — powiedział. — Było z nami krucho.

— Wpadliście na silny oddział, prawda? — rzekł oficer uśmiechając się nieznacznie.

— Tak jest. To znaczy, zaskoczyli nas i zaczęli strzelać.

Major przyjrzał się jednej z map i zmarszczył brwi. — Co tam się stało, sierżancie? — zapytał.

— Tak, jak mówiłem, majorze. Zbliżyliśmy się do wioski i zostawiliśmy posterunek na szczycie wzgórza. Widać stamtąd całą okolicę. Chcieliśmy wiedzieć, czy ktoś z wioski nie wychodzi.

— Która to była godzina? — spytał major.

— Myślę — spojrzał w skupieniu na zegarek — myślę, że było około czwartej. Zapadł zmrok i kazałem ludziom zjeść suchy prowiant. W jakiś czas później ściemniło się zupełnie i w wiosce ukazało się kilka świateł, a potem na lewo ode mnie zaczęła się strzelanina. Strzelano z wysokiej, piaszczystej wydmy odległej od nas o jakieś sto metrów. Moi ludzie zaczęli uciekać w stronę oceanu, i widziałem, że kilku z nich wpadło w panikę. Krzyczałem, żeby zostali na miejscu, ale rozbiegli się na wszystkie strony. Potem zaczęli biec w kierunku okopu nad brzegiem oceanu. Większość z nich zdołała tam dotrzeć.

Większość z nich? — major uniósł pytająco brwi.

— Tak — odrzekł. — Dotarli tam wszyscy oprócz jednego.

— Kto to był?

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— To był kapral, majorze. Biegł ostatni. I właśnie wtedy ... — przełknął nerwowo ślinę.

— Co — wtedy?

— Wtedy właśnie zginął.

Łysy sierżant pełniący funkcję adiutanta wszedł w tym momencie do pokoju. Wszedł wtedy, kiedy zdecydował się powiedzieć majorowi to, co dręczyło go tak długo.

— Jak to się stało? — major wyprostował się w krześle.

Łysy sierżant położył na stole jakieś papiery i wyszedł.

— Ludzie strzelali bez komendy — ciągnął z namysłem. — Wszyscy strzelali, choć nie było widać żadnego celu. — Przerwał na chwilę. — Trwało to jakiś czas i wtedy postrzelono kaprala. Upadł kilkanaście metrów przed nami i kilku chłopców pobiegło tam i wciągnęło go do okopu. Zdaje się, że reszta wciąż strzelała. Sanitariusz próbował pomóc... kapral miał przestrzeloną szyję... sanitariusz próbował pomóc...

Mówienie stawało się dla niego coraz trudniejsze. — Majorze — wykrztusił — myślę, że to chyba ja... to chyba ja zabiłem kaprala.

— Nie sądzę — przerwał mu szybko major.

— Takie zamieszanie. Trudno było zrozumieć, co się właściwie dzieje.

— Wiem, wiem — przytaknął major. — Czasami na pierwszej linii jest bardzo ciężko Byłem tam kilka tygodni temu i przyznaję, że czasem nie wiedziałem jak ocenić sytuację.

Przez długą chwilę patrzał na betonową podłogę bunkra zbierając siły, żeby powtórzyć te obce słowa. Nie był pewien, czy major dobrze zrozumiał to, co wyrzucił z siebie przed chwilą.

— Chciałbym jednak, majorze, żeby pan wiedział — myślę, że to ja go zabiłem. Jestem prawie pewny, że to ja.

Znalazł więc jednak w sobie dość siły, żeby to wypowiedzieć. A teraz wychodził z bunkra i był o wiele spokojniejszy. Nie zataił niczego przed majorem i major nie uwierzył w jego wyznanie. Czuł się tak, jak wiele lat temu, kiedy jako mały chłopiec przystępował do spowiedzi otrzymywał rozgrzeszenie. Przeszedł obok punktu łączności i zauważył, że grupka żołnierzy odwróciła głowy. Niech gadają do woli, pomyślał. Jest przecież człowiekiem i pomylił się tak, jak może pomylić się każdy. Kapral nie żył i nikt nie mógł już tego zmienić.

Następnego dnia poszedł wraz z całym oddziałem do namiotu, w którym odbywała się msza za duszę zabitego. — Kapral zostawił żonę i dziecko — ktoś powiedział. Starał się słuchać słów księdza, zapamiętać nazwisko, które raz po raz powtarzał. Kim był człowiek, którego wczoraj zastrzelił? Jakie było jego życie? Odczuwał nieprzepartą chęć, żeby wrzaskiem przerwać ciszę panującą w namiocie-świątyni i zagłuszyć słowa księdza. Zbyt wiele razy słyszał to imię, imię zabitego przez siebie człowieka, który miał przyjaciół, miał żonę, a którego do tej pory nie znał i wcale nie pragnął poznać — szczupłego chłopca z Georgii, którego teraz dokładnie zawijano w folię i który w stalowym pudle wróci do kraju, żeby spocząć w ziemi, mając zaledwie dziewiętnaście lat.

Następne tygodnie wlokły się niemiłosiernie powoli. Każdy dzień ciągnął się w nieskończoność aż do zmierzchu, do łagodnego, kojącego zmierzchu, który przerywał pasmo udręki i choć na kilka godzin uwalniał go od natrętnego, koszmarnego obrazu.

Walki były teraz coraz bardziej zaciekłe — niemal każdego dnia pociski artyleryjskie i rakiety spadały lawiną na obóz zmuszając żołnierzy do szukania schronienia w małych bunkrach.

Szansę dał mu major. Pewnego dnia wezwał go do bunkra dowodzenia i oznajmił, że mianuje go dowódcą grupy zwiadowców. Major, który go zrozumiał, oświadczył też, że ceni jego umiejętności i spodziewa się po nim sprawnego wykonywania powierzonych mu zadań.

Oto szansa naprawienia zła, myślał. Major chciał, żeby on — młody, silny żołnierz Piechoty Morskiej skorzystał z drugiej okazji do zostania bohaterem.

Jeden po drugim żołnierze prześlizgiwali się pod grubymi zwojami kolczastego drutu, a potem posuwając się wzdłuż brzegu rzeki rozpoczęli długi marsz w kierunku cmentarza, który miał być miejscem zasadzki. Szli długim, ściśniętym rzędem niewyraźnych, rozmazanych deszczem cieni, kierując się na północ — dokładnie tak, jak to zaplanowano. Czasami deszcz ustawał i wtedy linia wydłużała się trochę, by zaraz potem znów się skurczyć, jak gdyby zwiadowcy bali się zabłądzić.

Dotarli do małego pola ryżowego leżącego na skraju cmentarza. Przebrnęli przez nie w zupełnym milczeniu i wydawało mu się, że z wioski dobiegają do niego ludzkie głosy. Poczuł w nozdrzach znajomy zapach dymu ognisk i wiedział, że rybacy po całodziennym połowie wrócili już do domów. Przypomniał sobie jak na początku trudno mu było odróżnić partyzantów od wieśniaków i wydawało mu się wtedy, że o wiele łatwiej jest znienawidzieć ich wszystkich, chociaż bardzo się starał tego uniknąć. Ciągle jednak nie był pewny, czy ci ludzie rozumieją powód jego obecności w ich kraju.

Stali na grobli oddzielającej pole ryżowe od cmentarza. Docierające do nich z pobliskich chat głosy były zupełnie wyraźne. Spojrzał na czoło oddziału, tam gdzie stał porucznik, który tej nocy wyszedł na patrol wraz z nimi. Porucznik posłał zwiadowcę o nazwiku Molina aż na ostatnią groblę położoną tuż przy wiosce. Padał zimny, ulewny deszcz i czekający na rozkazy zwiadowcy stali za nim nieruchomo jak szereg posągów.

Tam, w przodzie, zaczęło się teraz coś dziać. Zobaczył, że Molina gwałtownie wymachując ramionami daje porucznikowi jakieś znaki, a potem potykając się na nierównym grzbiecie grobli, zgięty w pół, cofa się w kierunku małej kolumny. Widział potem, jak Molina szepcze coś na ucho porucznikowi. Porucznik odwrócił się i spojrzał w jego stronę.

— Sierżancie — powiedział półgłosem — idę rzucić okiem na wioskę. Zostańcie tu z patrolem.

Po kilku nieskończenie długich minutach sylwetki porucznika i Moliny wyłoniły się wreszcie z ciemności. Po ich szybkich, niespokojnych ruchach poznał, że zobaczyli w wiosce coś podejrzanego. Nie mogąc opanować niecierpliwości zerwał się z przyklęku.

— Co widzieliście? — zawołał.

— Cicho! — syknął porucznik łapiąc go za ramię i wpychając z powrotem w błoto. Zaczął mówić bardzo szybko i o wiele za głośno. — Znaleźliśmy ich, znaleźliśmy ich — powtarzał gorączkowo, prawie krzycząc.

Biegli przez pole ryżowe rozchlapując zbeltaną wodę jak podrywające się do lotu stado kaczek. Wypełniała go nadzieja i modlitwa — może tym razem spotka prawdziwego wroga. Doczołgali się do linii drzew, przebrnęli przez pokryty kilkudziesięciocentymetrową warstwą wody koniec pola ryżowego i zadyszani przylgnęli do otaczającej wioskę grobli. Na prawo od gromadki chat zobaczył migotliwe światło ogniska i kręcące się wokół płomieni małe figurki. W ciemnościach trudno było dokładnie określić odległość. Leżący obok porucznik przysunął się bliżej.

— Widzicie? — szepnął — Spójrzcie tam — wskazał ręką.

Wciskając łokcie w wilgotne błoto grobli patrzał na migoczące w deszczu płomienie. Małe figurki kręciły się wokół nich jak niewyraźne cienie na słabo podświetlonym ekranie. Spojrzał na napięte twarze zwiadowców, a potem usłyszał głośne: łuuursz i niedaleko przed nimi pękła rakieta wypluwając ogromną, rozjarzoną tysiącami odprysków kulę światła, zamieniając noc w dzień i jaskrawym łukiem sięgając małego ogniska, które, jak teraz dopiero zauważył, paliło się w środku otwartej chaty. Nagle na końcu szeregu gruchnął strzał, a po chwili dziesiątkami grzmotów huknęły inne — strzelali teraz wszyscy, zaciskając zęby, naciskając spusty i nie pojmując nawet tego co robią, zasypali chatę gradem świetlnych pocisków, zatopili ją strumieniami krzyżujących się w ciemności pomarańczowych smug. Zawieszony nad wioską łuk rakiety rozprysł się w ostatnim wybuchu syczących iskier i znów zapanowała ciemność, w której widział tylko żarzące się jeszcze popioły wygaszonego ogniska. W chacie rozległy się jęki.

— Kto wam kazał strzelać? Pytam, kto wydał taki rozkaz?

Porucznik wstał omiatając wzrokiem szereg leżących w ulewnym deszczu zwiadowców.

— Sierżancie — zwrócił się do niego porucznik — idźcie tam razem z Moliną i zobaczcie, ilu dostaliśmy.

Z trudem podniósł się z klęczek i prowadząc za sobą pięciu żołnierzy przeszedł przez groblę kierując się w stronę chaty, z której ciągle rozlegały się jęki. Zobaczył teraz, że odległość nie była duża. Wyraźnie widział żarzące się popioły ogniska rozrzucone straszliwą siłą karabinowych salw. Szeroki snop światła z latarki Moliny prześliznął się powoli po wnętrzu chaty.

— Boże — wykrztusił zdławionym głosem zwiadowca. — Jezu Chryste! — wybełkotał — przecież to dzieci!

Podłogę małej chatki pokrywały kałuże krwi i małe, wijące się w bolesnych konwulsjach ciała. Uderzenia kul znaczyły krwawe ślady na ich rękach, nogach i twarzach. Jęki i rozpaczliwe krzyki wypełniały małe pomieszczenie.

Stojący na grobli porucznik przynaglał do pośpiechu. Chciał jak najprędzej dowiedzieć się, ilu zabitych znaleziono w chacie.

W kącie leżał nieruchomo stary człowiek. Kula rozbiła mu głowę i zwoje mózgu wypełzały mu z czaszki jak szara, gęsta galareta. Nie mógł oderwać oczu od tego widoku, bo czegoś takiego nigdy jeszcze w życiu nie oglądał. Leżący obok staruszka mały chłopiec żył jeszcze, choć trafiło go kilka kul. Płakał cichutko cały spływając krwią. Jedna z jego małych stóp wisiała na strzępku skóry.

— Pośpieszcie się! Co tam się dzieje? — porucznik stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

— Lepiej niech pan tu przyjdzie, poruczniku! — odkrzyknął wreszcie Molina. — W chacie jest kilku rannych.

Ukląkł wśród drgających ciał i zaczął je bandażować próbując zatamować płynącą z ran krew. Porucznik wraz z resztą oddziału stał już przy chacie.

— Pomóżcie mi! — wrzasnął. — Pomóżcie!

— Do jasnej i ciężkiej cholery, sierżancie! Co się z wami dzieje? Ilu tam jest zabitych?

— To są dzieci! — wrzasnął odwracając się w stronę wejścia.

— Dzieci i starcy! — krzyknął Molina.

— A gdzie jest broń? — spytał zaskoczony porucznik. — Gdzie są ich karabiny?

— Nie ma tu żadnych karabinów — wykrztusił.

— Pomóżcie mu więc, słyszycie! — wrzasnął porucznik do reszty zwiadowców. Żołnierze stali na progu chaty, ale żaden z nich nie uczynił najmniejszego ruchu.

— Pomóżcie mu! Pomóżcie mu! — krzyczał porucznik. — To rozkaz!

Zwiadowcy w dalszym ciągu stali nieruchomo. Kilku z nich wypuściło z rąk karabiny. Usiedli na przesiąkniętej deszczem ziemi i zaczęli płakać zasłaniając ubłoconymi rękami twarze.

— Jezu przebacz nam, Boże przebacz — jąkali oszołomieni.

— Powstać! — wrzasnął porucznik. — Co to ma znaczyć?

Powstać! To rozkaz!

Kilku zwiadowców pochyliło się nad ciałami, rozwijając rolki bandaży.

Przed chatą zebrali się wieśniacy. Słyszał ich gniewne okrzyki i wiedział, kogo przeklinają.

Tłumaczył:
JERZY TWORKIEWICZ

HISTORIA FILOZOFII

„Wiedza Powszechna" obok cyklicznych pozycji popularyzujących naukę wydaje też książki poświęcone jednej dziedzinie: fizyce, astronomii, biologii. W kręgu zainteresowań „Wiedzy Powszechnej" jest też filozofia. Niedawno ukazało się trzecie wydanie „Zarysu historii filozofii" Jana Legowicza. Trzecie wydanie — uzupełnione i poprawione — dowodzi wszakże, że książka ta cieszy się popularnością i choć trudna znajduje szybko licznych nabywców. Jest więc książką potrzebną.

„Zarys historii filozofii" — jak to wynika z tytułu — jest publikacją omawiającą w sposób syntetyczny dzieje filozofii od czasów starożytnych do współczesnych. Ten przegląd dziejów myśli filozoficznej został opracowany według marksistowskiej oceny dziejów myśli ludzkiej. „Może nie zawsze udało się to w pełni zrealizować — zastrzega autor — niemniej jednak podstawowe założenia metodologiczne marksizmu były źródłem głównych przesłań w opracowaniu koncepcji Zarysu, one kierowały analizą podstawowych kierunków w rozwoju myśli filozoficznej, wykrywaniem prawidłowości ich powstawania i roli w społecznościach, w których i dla których działały...".

„Zarys historii filozofii" daje przegląd najważniejszych prądów i szkół filozoficznych poszczególnych epok poczynając od starożytności, a kończąc na czasach współczesnych, poświęcając wiele miejsca prezentacji założeń filozoficznych marksizmu. Jest to książka, którą powinno się mieć w bibliotece, aby móc sięgnąć do niej zawsze wtedy, kiedy zjawia się potrzeba zorientowania się w takim czy innym prądzie filozoficznym, przypomnienia sobie takich czy innych poglądów filozoficznych. Książka ta ma też — zgodnie z intencją autora zachęcać do samodzielnego myślenia, ma temu myśleniu dać filozoficzne postawy.

Jan Legowicz — „Zarys Historii filozofii", Wiedza Powszechna, Warszawa 1976, str. 610, cena: 120 zł.

RELIGIA I JEJ DZIEJE

Prezentujemy dziś jeszcze jedno trzecie wydanie, co w zasadzie jest sprzeczne z naszą zasadą omawiania tylko nowości, ale powód ku temu jest też dość istotny. Trzecie wydanie „Zarysu" dziejów religii" nosi zupełnie inny charakter, niż dwa poprzednie, gdyż jak to stwierdza komitet redakcyjny, zostało nie tylko poprawione, ale w wyniku głosów recenzentów i czytelników wiele jego rozdziałów zostało ponownie napisanych. Jest to więc właściwie zupełnie nowa książka, jakkolwiek nosi wszystkie cechy dwu poprzednich wydań „Zarysu dziejów religii".

Książka ta traktuje przede wszystkim o samej religii, jej pojęciu, genezie, strukturze i klasyfikacji. Mówi o tym, co to są doktryny religijne, jaka jest organizacja i struktura różnych kultów, aby w dalszych rozdziałach przejść do prezentowania poszczególnych wierzeń.

Prezentację tę otwiera część pierwsza poświęcona religiom Azji, Australii, Oceanii, Afryki i Ameryki. Część druga obejmuje religie już wygasłe. Są to więc religie Mezopotamii, dawnego Iranu (Persji), Azji Mniejszej, Egiptu starożytnego, Fenicji i Syrii a także świata antycznego. Część trzecia obejmuje natomiast religie uniwersalne. A więc buddyzm, judaizm, chrześcijaństwo z jego różnymi odłamami i islam.

„Zarys dziejów religii" jest pracą zbiorową, wykonaną przez 22 autorów, przy której nad całością czuwał komitet w składzie: prof. dr Józef Keller, prof. dr Wiesław Kotański, prof. dr Witold Tyloch i mgr Bogdan Kupis.

„Zarys dziejów religii", Iskry, Warszawa 1976, str. 997, cena: 200 zł.

SYTUACJA

Lisandro Otero współczesny pisarz kubański rozpoczął swoją karierę literacką od tomu opowiadań. W roku 1955 przebywał w Algerii jako korespondent wojenny. Za reportaże z Algerii otrzymał Nagrodę Państwową. W czasie rewolucji związany był z podziemną organizacją Ruch 26 Lipca, a po zwycięstwie rewolucji pełni różne odpowiedzialne funkcje w Rządzie Rewolucyjnym. Otero jest związany z ważniejszymi czasopismami kubańskimi, pisze reportaże i eseje, a równocześnie rozwija swoją twórczość literacką.

W roku 1963 ukazała się jego powieść „Sytuacja", która przyniosła pisarzowi rozgłos i nagrodę Casa de Las Americas. „Sytuacja", pierwszy tom zamieszczonego przez pisarza cyklu „trylogii miejskiej", ukazuje dzieje Kuby od momentu ustanowienia republiki do narodzin dyktatury Batisty. Akcja powieści rozpoczyna się wprawdzie w 1951 roku, ale zawiera również dwa wątki retrospektywne przedstawiające proces kształtowania się kubańskiej burżuazji i kasty militarno-politycznej. Bohaterami „Sytuacji" jest złota młodzież kubańska. Jej beztroskiej egzystencji nie mącą narastające coraz wyraźniej niepokoje polityczne, pierwsze zwiastuny nadchodzącej nowej epoki. Główny bohater powieści — Luis Dascal uczestniczy w życiu śmietanki towarzyskiej, nie wierzy ani w ład, ani w sprawiedliwość, nie chce robić kariery przy pomocy polityki, tkwi pośrodku przeszłości i przyszłości, jako bierny obserwator wypadków historii, który woli w nic się nie mieszać.

„Sytuacja" ukazała się w serii Prozy Iberoamerykańskiej Wydawnictwa Literackiego. Możemy mieć nadzieję, że otrzymamy niedługo również następną powieść z tego cyklu bowiem drugi tom trylogii Lisandro Otero, zatytułowany „W tym samym mieście" ukazał się w roku 1976.

Lisandro Otero — „Sytuacja", przełożyła H. Igalson, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 234, cena 35. zł

KOLEKCJONER

W serii Prozy Iberoamerykańskiej ukazała się powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy Ameryki Południowej Urugwajczyka Juana Carlosa Onettiego zatytułowana „Kolekcjoner". Z trzech zbiorów opowiadań i dziesięciu jego powieści, polski czytelnik poznał do tej pory nowelę „Pożegnanie" i napisaną w roku 1961 powieść „Martwy port". Lekturę „Kolekcjonera" powinno się właściwie zacząć od przypomnienia sobie „Martwego portu", powieści — klucza, która służy zrozumieniu całej twórczości Onettiego. W „Kolekcjonerze" spotykamy bowiem te same postacie, te same realia i kontynuację wcześniej poruszonych problemów. Spotykamy się wreszcie z tym samym miastem Santa Maria, miastem, które wprawdzie powstało całkowicie w wyobraźni pisarza, ale przecież jest syntezą wszystkich miast i miasteczek leżących po obu brzegach rzeki La Plata. Syntezą prowincji i prowincjonalizmu.

„Nie mam najmniejszych pretensji, jeśli chodzi o zmienianie świata, o modyfikowanie go za pomocą tego, co piszę" — stwierdza Onetti. W swojej trudnej prozie stara się przedstawić najbardziej typowe cechy małomiasteczkowej obyczajowości. Ale ani akcja, ani tło, na którym się ryzgrywa, nie są w „Kolekcjonerze" sprawą najważniejszą. Andrzej Nowak stwierdza w posłowiu: „Dominująca rolę odgrywa bowiem to, co Onetti zamierza powiedzieć sam sobie czy swoim bohaterom. Do czego zapewne jeszcze nieraz powróci, choć będzie to robił w swój specyficzny i trudny do zinterpretowania sposób".

Juan Carlos Onetti — „Kolekcjoner", przełożyła T. Marzyńska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 235, cena 35 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

ELA I ANDRZEJ BANACHOWIE — „Ostatnia podróż". W. Lit. 1976, zł 60,—

POLA GOJAWICZYŃSKA — „Dziewczęta z Nowolipek". Czytelnik 1976. zł 40,—

„Niewyczerpany dzban". Baśnie ziemi mińskiej, smoleńskiej, mohylewskiej, grodzieńskiej i Polesia. — Wybrał, przełożył i opracował Aleksander Barszczewski. LSW 1976, zł 100,—

ZYGMUNT TRZISZKA — „Happeniada". W. Lit. 1976, zł 35,—

„Almanach sceny polskiej. 1974/75" — Pod redakcją Kazimierza Andrzeja Wysińskiego, WAiF 1976, zł 75,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WRAŻLIWOŚĆ, DRAŻLIWOŚĆ I POCZUCIE HUMORU

Każdy uważa, że jest wrażliwy i każdy uważa, że ma poczucie humoru. Tylko do nadmiernej wrażliwości nikt się przyznać nie chce.

W drukowanej niedawno szopce są słowa: **„oto się do nas zbliża ciżba redaktorów — uciekajmy, pewno brak im poczucia humoru"**. No, właśnie. Niektórzy ludzie jakby zatracili świadomość, że szopka jest tylko i wyłącznie żartem, a nie listą odznaczonych. Jedni poczuli się dotknięci, że napisano o nich „nie tak", inni poczuli się dotknięci, że ich w szopce zabrakło. Utwór miał zresztą — o czym pisaliśmy — dwie wersje: w „Kalejdoskopie" (krótszą) i w Radio (dłuższą). W „Odgłosach" ze względów kompozycyjnych i objętościowych trzy postacie wypadły. Ale czy to znaczy, że kogoś „skreślono" z listy odznaczonych, że się kogoś nie docenia lub lekceważy? Obraza z tego powodu jest naprawdę zdumiewającym dowodem braku poczucia humoru.

Teraz zresztą rozumiem, dlaczego od kilkunastu lat nikt w Łodzi szopki nie napisał. Po co? Autor powiedział, że jeśli w przyszłym roku szopkę napisze, to jej bohaterami będą m. in.: **Jimmy Carter**, generał **Mobutu** i pani **Cing-Ciang**. Jeśli pominie **Kissingera**, to ten się chyba nie obrazi.

No cóż, minęły czasy, kiedy prasowe polemiki i satyra miały inną temperaturę i temperament. Dziś ludzie obrażają się za jedną setną tych zarzutów, jakie niegdysiejsi polemiści stawiali sobie przed laty.

Czterdzieści lat temu recenzent **„Wiadomości Literackich"** tak na przykład pisał o przedstawieniu „Snu srebrnego Salomei": **„Węgrzyn ryczał od pierwszej sceny, wył i gryzł palce, ale rozgryźć nie potrafił (...) Pani Hahorska z gruba-frant toczyła potoczysty wiersz Słowackiego z lekkością, której pozazdrościłby jej Garkowienko"**.

Dodam, że Garkowienko to był sławny w owym czasie zapaśnik, a Węgrzyn — jak wiadomo — był jednym z najwybitniejszych aktorów tamtych lat. Spróbowałby ktoś dziś napisać w ten sposób o tegorocznym absolwencie wydziału aktorskiego. Miałby zaraz na głowie delegację rady zakładowej i oficjalny protest dyrekcji teatru. Pamiętam przecież recenzję teatralną w jednej z łódzkich gazet, gdzie napisano, że aktor nie poradził sobie z rolą... „Co to się działo, co się działo" — jak śpiewa **Wojciech Młynarski**. Były delegacje, protesty i ogólna obraza.

Strasznie wszyscy zrobili się drażliwi. A poczucia humoru nie przybyło.

Przedrukowaliśmy kiedyś ze „Studenta" żartobliwy rysunek **Andrzeja Mleczko** na temat „dematerializacji" przesyłek pocztowych. Na rysunku po prostu... palono listami w kanonce. Żart był okrutny, ale nie przestawał być żartem, a poza tym rysunek ilustrował poważny przecież tekst o niedomogach naszej poczty. Efekt był — oczywiście — typowy. Sporządzono oficjalny memoriał, którego autorzy wystawili sobie osobliwe świadectwo drażliwości i braku poczucia humoru.

Los satyryków i felietonistów nie jest w tej sytuacji zbyt łatwy. Lecz, jak to mówią, sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna. Na szczęście są jeszcze kelnerzy i biurokraci, którym można spokojnie dołożyć, byle nie po nazwisku.

WIDOK

LEWYM OKIEM

JAK SIĘ DOWIADUJEMY...

Wiele pism — z „Przekrojem" na czele — prowadzi stałe rubryki w rodzaju „Aktualności z myszką", „Łódź sto lat temu", „Warszawa przedwczoraj" i tym podobne. Czyta się to lekko i przyjemnie, a stare roczniki czasopism po bibliotekach stanowią nieprzebrany zapas materiałów do tego typu rubryk. A co by było, gdybyśmy tak na chwilę wyobrazili sobie nasz „Dziennik Popularny" z datą roku 2001? Wcale nie wykluczone, że w dzienniku tym znajdą się następujące wiadomości.

— W jednym ze słabo oświetlonych zaułków Drogi Mlecznej nieznani sprawcy obrzucili zgniłymi meteorytami dziewczęta, wracające z występów „Mazowsza" na Andromedzie. Od dawna domagaliśmy się rozwieszenia w tym rejonie kilkudziesięciu sztucznych słońc, co niewątpliwie poprawiłoby warunki bezpieczeństwa publicznego. Słońca — jak się dowiadujemy — leżą tymczasem w magazynie i bezużytecznie tracą na wadze. Kto odpowiada za to marnotrawstwo?

— Wczoraj w godzinach wieczornych przeprowadzono w Chinach kolejną próbę wystrzelenia Himalajów w kierunku Antarktydy. Rezultaty trzymane są w tajemnicy, ale sejsmografy w pewnym mieście pewnego kraju zanotowały silne drgania skorupy. Jest oczywiste, że eksperymenty takie nie sprzyjają atmosferze łagodzenia usiłowań podejmowanych prób zachęcania do wzbudzania nastrojów nie naruszających słabych jeszcze, ale dostrzegalnych oznak ostrożnego optymizmu, co zarysowywać się zaczęło w pewnych kręgach ludzi myślących w różnych częściach świata.

— Dyskusja na temat przystąpienia Anglii do Wspólnego Rynku została odroczona ze względu na strajk śmieciarzy w Londynie. Wierzchołek wieży Tower widoczny jest jeszcze spoza sterty puszek po herbacie z mlekiem.

— Po niedawnym przyłączeniu Warszawy do Łodzi gruntownej przebudowie ma ulec dworzec Łódź — Rozprza. Przewiduje się tutaj przelot czterdziestu pociągów na minutę oraz budowę czterystu specjalnych ogrzewanych bocznic dla pociągów spóźnionych.

— Z okazji dwumilionowego odcinka radiowej powieści „Matysiakowie", imieniem tej sympatycznej rodziny został nazwany najwyższy szczyt w Tatrach, najgłębsze jezioro na Mazurach, most nad Zalewem Łódzkim oraz Pałac Kultury i Nauki w Jezioranach.

— Na wczorajszym posiedzeniu ONZ przyjęto w poczet tej organizacji siedemnaście nowych suwerennych państw, głównie afrykańskich. Celem zapobieżenia nadmiernej atomizacji politycznej świata, zwłaszcza Trzeciego, Rada Bezpieczeństwa przygotowuje wniosek, zgodnie z którym samodzielne państwo musi odpowiadać następującym warunkom minimum: — posiadać co najmniej jedną stację telewizyjną, jedno lotnisko, policję w sile stu osób oraz budżet, pozwalający utrzymać jednego delegata przy ONZ.

— Przemysł lekki przygotowuje na zbliżający się sezon letni wiele atrakcyjnych nowości. Oprócz spodni z podwójnymi nogawkami, bardzo modnych na zachodzie, mamy otrzymać sukienki zapinane na guziki, skarpetki tak zwane wciągliwe oraz — zupełną nowość! — gumowe kapelusze. Próbna partia tych ostatnich w ilości miliona sztuk znajdzie się w sklepach już 1 kwietnia i — jak zapewnia producent, którym są Zakłady Wyrobów do Przerobu w Cierpiętach — zaspokoi najwybredniejsze gusty klientów.

— U kogo zgaśnie światło? W związku z przebudową zabudowy i rozbudową przebudowy zgaśnie dziś wieczorem światło w rejonie ulic Południowej, Północnej, Wschodniej, Zachodniej i pozostałych. Przerwa trwać będzie do odwołania.

— Dziś wtorek. Imieniny szefa i hydraulika. Z powodu braku miejsca zapowiedź pogody na jutro podamy pojutrze.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

BEZCZELNOŚĆ PETENTA

Skrzywieniem zawodowym nazywa się jednostronność w podejściu do świata. Patrzenie na otaczającą rzeczywistość pod jednym określonym kątem widzenia, co wiąże się z wykonywanym zawodem. Niekiedy skrzywienie zawodowe urasta do rangi symbolu, jak to miało miejsce z kelnerskim stosunkiem do klienta. Kelner w odległych czasach na wszelkie interpretacje klienta odpowiadał niezmiennie: kolega! Co w tłumaczeniu na język gastronomicznej codzienności wyjaśnia się, jako wyrażanie braku zainteresowania konsumentem ze względu na to, że znajduje się on w innym rewirze, a przyzwoity kelner z tamtych czasów nie poniżał się do tego, aby interesować się czymkolwiek, co nie należało do jego rewiru. Ta jakże aspołeczna postawa była aż nadto wyszydzana i krytykowana przez satyrę tamtych czasów.

Dziś zmieniły się czasy i zmienili się kelnerzy. Satyra też jest inna. Jej centralne miejsce zwolnione przez kelnerów, zajęli dziś dozorcy, zwani niekiedy gospodarzami oraz urzędnicy. I zupełnie słusznie, bowiem świat nasz strasznie zurzędniczał i — tak jak kiedyś kelnerskie — tak dziś urzędnicze dominuje widzenie świata.

Drzewiej bywało, że szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie i coś z tej postawy przeszło na stan urzędniczy. Etat w biurze, miejsce przy biurku oraz w służbowej hierarchii potrafią z każdego uczynić postać godną szacunku i ważną, która tylko przed zwierzchnością potrafi czuć respekt. Urzędnik wykonuje swoje zadania i biada temu, kto ośmieli się temu przeszkodzić. A zdarzają się tacy intruzi, zwani petentami, dla których nie sprawy urzędu są ważne, a ich własne, drobne sprawki. Oni to są zmorą wszelkich urzędników, których życie toczyłoby się gładko i wartko po biurowej rzeczywistości, gdyby nie ci podli i natrętni petenci.

Był czas, kiedy w sklepie pisało, że „klient ma rację", dziś jej już nie ma, a przynajmniej tak nie pisze, ale nigdy nie bywało, aby petent miał rację. Do petenta urząd zwracał się tylko z pisemnym, kategorycznym nakazem: „Załatw sprawę i żegnaj!" Ba, ale jak tu załatwić sprawę bez zgody i pomocy urzędu. Mało jest takich ludzi, którym raz zdarzyło się wejść do urzędu i wyjść z załatwioną sprawą ku własnej radości i urzędników zmartwieniu. Petent jest natrętnym intruzem w urzędzie, ale petent jest potrzebny. Rządek petentów cierpliwie oczekujący pod drzwiami tego i owego urzędnika nadaje urzędowi wyższej rangi, nadaje wyższego społecznego znaczenia. Jest w tym sprzeczność, ale gdzie jej nie ma.

Maria Irena B. uważała, że ma szczęście w życiu i potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji. Póki pracowała w wielkiej łódzkiej fabryce tekstylnej wszystko było w porządku. Rzeczywiście jakoś sobie radziła. Ale oto podupadła na zdrowiu i nadszedł taki moment, że trzeba było pożegnać się z fabryką i przejść na rentę inwalidzką. Nie jest to moment wesoły. Jednakże przejście na rentę inwalidzką jest sprawą o tyle prostą, że decyduje o tym komisja lekarska badająca stan zdrowia. Marii Irenie B. pozostało jednakże tylko pół roku do przejścia na emeryturę. I tu wszystko zaczęło się komplikować.

Lekarze orzekli, że Maria Irena B. powinna przejść najpierw na rentę inwalidzką, a jak jej czas nadejdzie, wtedy ZUS dokona niezbędnej manipulacji i rentę inwalidzką zamieni na emeryturę. Teoretycznie wszystko jest proste, ale w praktyce mogą zawsze wyniknąć niespodziewane trudności i przeszkody. Świadoma tego Maria Irena B. sama zaczęła interesować się dokumentami niezbędnymi do tego, aby mieć prawo do emerytury. Okazało się wtedy, że wszystko jest w najlepszym porządku i są dokumenty, stwierdzające cały okres jej pracy, a więc nie powinno być żadnych kłopotów z przyznaniem jej zasłużonej emerytury. Ale ZUS był inego zdania.

Zdaniem ZUS brakowało udokumentowania na okres trzech lat, kiedy zaraz po wojnie Maria Irena B. pracowała w prywatnej wytwórni. Maria Irena B. informowała kogo mogła, że dokumenty na ten okres leżą w archiwum ZUS przy ulicy Wólczańskiej, ale urzędnikom skoś to nie mogło się pomieścić w głowie, że oni szukają tych dokumentów przez kilka miesięcy i to bezskutecznie, a petent wie, gdzie one są. Kompletny brak szacunku dla urzędowej racji.

Z nowym rokiem Maria Irena B. otrzymała z zusowskiego inspektoratu dla Górnej wezwanie, aby stawiła się w biurze w sprawie emerytury. Bardzo się zdenerwowała tym wezwaniem, ale jeszcze bardziej zdenerwowała się wizyta w urzędzie, jeśli to można nazwać wizytą, gdyż oświadczono jej, że nie ma żadnych dokumentów na okres owych trzech lat, kiedy to po wojnie pracowała w prywatnej firmie.

— Przecież są w archiwum ZUS — mówiła Maria Irena B.

— Skąd pani wie, jakim prawem dostała się pani do archiwum — denerwowała się urzędniczka.

Maria Irena B. zwątpiła. W życiu wszystko może się zdarzyć. Może jej dokumenty zginęły. Ale udała się ponownie do archiwum ZUS przy ul. Wólczańskiej, gdzie pokazano jej owe rzekomo zaginione dokumenty, których bezskutecznie przez kilka miesięcy szukało kilka urzędów i wielu urzędników.

Zaiste bezczelność petentów przekracza już wszelkie granice.

MARCIN RODAK

magazyn

Satyra jest rzeczą poważną...

Rys. Marek Polański

stwierdził nie tak dawno poważny warszawski grafik i satyryk. Dlatego nasza rozmowa będzie jak najbardziej serio. A więc: Skąd **I OGÓLNOPOLSKIE TRIENNALE SATYRY ŁÓDŹ 1976** właśnie w naszym mieście?

— Bo inni poważni satyrycy doszli do wniosku, że gdzie indziej trudniej byłoby je zorganizować. Skoro jednak ma to być rozmowa serio na tematy satyry — trzeba stwierdzić, że w Łodzi znalazła się grupa osób, dla której organizacyjne

Rys. Jacek Urbański

wysiłki okazały się niestraszne...

Pozwolę sobie wspomnieć o Pańskim osobistym udziale...

— ...życzliwą opiekę okazały władze kultury miasta, łódzki okręg ZPAP i Biuro Wystaw Artystycznych. Redakcje „Karuzeli" i „Szpilek" pobłogosławiły Triennale fundowanymi nagrodami.

Nie było zatem w Łodzi oponentów?

— Wprost przeciwnie! Kiedy w 1974 r. otwarliśmy właśnie w Łodzi „Ogólnopolską Wystawę Satyry" (pierwszy większy pokaz tego rodzaju twórczości od 1956 r.) zwiedziło ją ponad 35 tys. widzów. Proszę sobie wyobrazić, że w dzień po otwarciu naszego Triennale mieliśmy około 1500 zwiedzających!

— Wiem, sam do nich należałem. Innymi słowy — ta imponująca statystyka wyjaśnia, jak potrzebne są takie pokazy; może również przekonuje, że nie przypadkiem odbyły się właśnie u nas. Jestem mimo to ciekaw, jak do Triennale odniósł się, na przykład, Wielki Ptak Dudi?

— Nadesłał swoje nieocenione sentencje i został wyróżniony. Jeżeli ma Pan na myśli osławiony „konflikt pokoleń" w obozie naszych satyryków — to trzeba zapisać na plus organizatorów, że szczęśliwie udało się go ominąć. Praktycznie jedynym warunkiem uczestnictwa w Triennale i następnie w wystawie było zastrzeżenie, aby zgłaszane były rysunki już publikowane, niejako sprawdzone w szerokim odbiorze. W ten sposób zabrakło może interesujących nowości, ale chodziło nam o obiektywny przegląd tego gatunku twórczości z ostatnich lat. Również selekcja uwzględniała przede wszystkim walory graficzne prac, niezależnie od stopnia aktualnej popularności określonych nazwisk.

— W konsekwencji Eryk Lipiński sąsiadował tu bezboleśnie z, powiedzmy, Antonim Chodorowskim...

— Tak, chodziło bowiem również o podkreślenie, że młodzi artyści lansowani przez „Szpilki" i ogólnopolskie tygodniki kulturalne — choć niewątpliwie posługują się własnym językiem wypowiedzi — obrazu naszej satyry nie wyczerpują, że tradycje sprawdzone przez dziesiątki lat są nadal żywotne. Satyrę rysowaną uprawia w Polsce blisko 80 osób, w samej Łodzi jest nas dwudziestu.

— Mimo woli dotknęliśmy pokoleniowego konfliktu...

— Nazwałbym go raczej „konfliktem postaw". Przecież inne miały do spełnienia zadania (notabene po wojnie wydawane w Łodzi) „Szpilki" lub „Rózga", gdzie znakomici rysownicy — wspomniany już Eryk Lipiński, Karol Ferster „Charlie", Kazimierz Grus czy Zenon Wasilewski ostrym, wyrazistym żądłem satyry walczyli o społeczne przemiany w Polsce, o przebudowę powojennej rzeczywistości. Młode pokolenie wychowane w pokoju i dobrobycie cechuje natomiast autoironia oparta na skojarzeniowym dowcipie tkwiącym korzeniami w ich problemach, często adresowanym wprost do rówieśników. Świat wokół nas zmienia się. Czy zauważył Pan, że mniej rysuje się dziś satyry politycznej? Po prostu — to konsekwencja złagodzenia międzynarodowych napięć chociaż głosu satyryków nie brakuje nadal tam, gdzie chodzi o obronę praw człowieka i jego wolności.

— Myśli Pan o rysunkach Karola Baranieckiego („Chile") czy Edwarda Lutczyna (nagrodzony „Czarny lont"). Graficy podejmują tematykę zagrożenia przyrody, środowiska człowieka...

— Sądzę, że współczesna satyra stała się bardziej „dziennikarska", szybciej reaguje na kluczowe problemy rzeczywistości. Ma więc często charakter publicystyki bardziej niż tradycyjnego wyszydzania, celuje w określone obszary światopoglądu i postawy. Nie dziwi zatem obecność satyry rysowanej nie tylko na łamach pism satyrycznych, ale także prasy kulturalnej lub telewizji. Być może jest ona bardziej obecna w naszym codziennym życiu...

— Przyznaję, że i ja należę do tych rozpoczynających przeglądanie „Kultury" od rysunków Andrzeja Krauzego... Czy możemy już mówić o „polskiej szkole satyry"?

— Zdaje się, że tak. Chodzi tu może po prostu o ściślejszy niż dotychczas mariaż dowcipu rysunkowego z grafiką, o sporty uniwersalizm i komunikatywność pomysłów odbijających w atrakcyjnej formie intymne, głęboko nieraz skrywane rysy charakteru większości z nas. Wreszcie — o wysoki poziom artystyczny naszej satyry.

— Co pozwoliło urządzić pokaz Triennale w Galerii Sztuki Współczesnej BWA. Odnoszę wrażenie, że mimo to na wystawie zabrakło wielkich dzieł satyry...

— Czy dzisiaj łatwo o wielkie dzieła plastyki, muzyki czy poezji? Jestem gotów podzielić Pański pogląd z zastrzeżeniem, że obecnie — gdy mamy do czynienia z konkurencją telewizji i masowego filmu — od dobrej satyry wymaga się głównie aktualności i celności. Wielcy artyści uprawiający satyrę: Daumier, Grosz czy z naszych Kostrzewski — to jednak przeszłość naszej dyscypliny, gdy nas powinna interesować zwłaszcza teraźniejszość i przyszłość...

— Jaka jest zatem przyszłość łódzkiej imprezy?

— Postaramy się ją kontynuować a z czasem — być może — przekształcić w imprezę międzynarodową grupującą rysowników z krajów socjalistycznych.

— A więc konkurencja dla Skopje, Montrealu czy Bordiguery?

— Raczej nie, bo zarówno festiwale satyry w Skopje, Kanadzie czy włoskiej Bordiguera mają charakter tematyczny (dla przykładu nie tak dawno przewodnim motywem w Skopje było hasło NIE) — podczas gdy my pragniemy utrzymać ogólny, przeglądowy profil naszego Triennale, z myślą o zapewnieniu uczestnictwa jak największej grupy autorów.

— Wypada zamknąć naszą rozmowę jakimś poważnym wnioskiem...

— Być może, chociaż ze swej strony wolałbym życzyć wszystkim po prostu dobrego humoru i zdrowia.

Z wiceprezesem Łódzkiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, znakomitym rysownikiem uprawiającym satyrę **JERZYM JANKOWSKIM** gawędził o niej

ANDRZEJ MAJER

NAJKRÓTSZA RECENZJA z I OGÓLNOPOLSKIEGO TRIENNALE SATYRY ŁÓDŹ 1976: I nagroda — Grzegorz Szumowski, II nagroda — Edward Lutczyn, nagroda „Szpilek" — Piotr Chrobok, nagroda „Karuzeli" — Marek Kamecki. III nagroda — Wacław Potoczek. Wyróżnienia: 1. Julian Bohdanowicz, 2. Tomasz Jura, 3. Karol Baraniecki, 4. Jonasz Kofta—Andrzej Dudziński, 5. Andrzej Krauze, 6. Marek Sarnowski, 7. Piotr Chrobok, 8. Zbigniew Ziomecki, 9. Andrzej Krauze, 10. Karol Ferster.

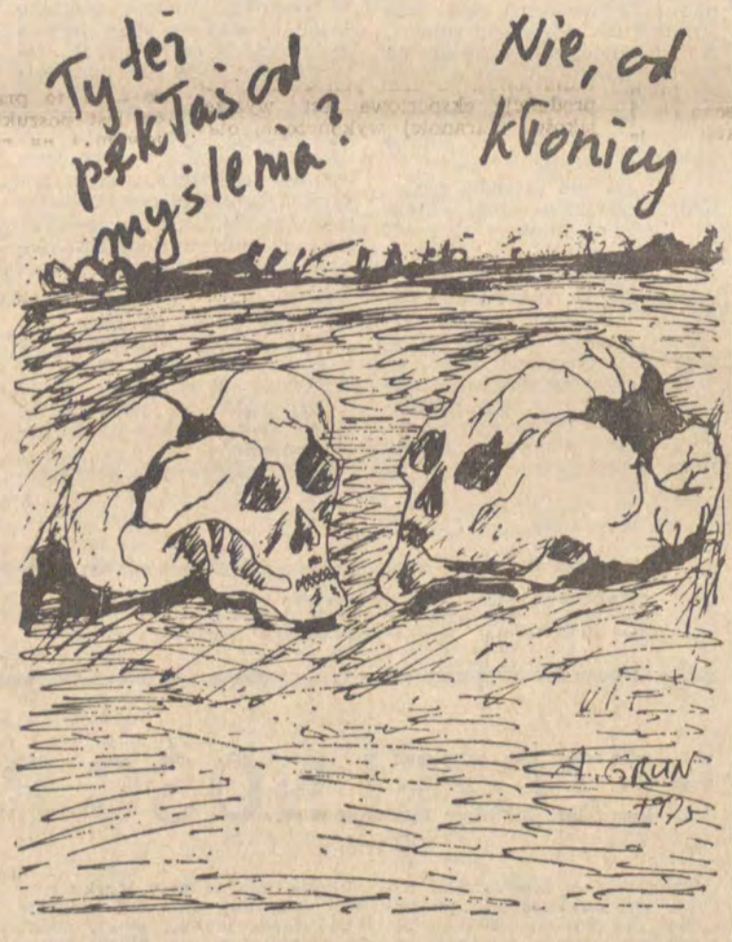

Rys. Andrzej Grun

Foto: Archiwum

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

PARODIE

Parodią tekstów literackich zajmują się nie tylko satyrycy. Uprawiają ten rodzaj także krytycy literaccy i historycy literatury, którzy profesjonalnie zajmują się badaniem i analizą twórczości pisarskiej. Jak wiadomo bardzo udane parodie literackie pisał m. in. prof. Kazimierz Wyka. W tym kontekście nie dziwi więc garść parodii poetyckich napisanych przez dra Tadeusza Błażejewskiego, krytyka literackiego, kierownika Redakcji Literatury Pięknej WŁ, czyli oficyny wydawniczej, która opublikowała tomy parodiowanych poetów.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

ZAMYKAM OCZY: SEN

Otwieram oczy: mężczyźni
których kochałam
piszą na szybie imię moje
Anna Laura Maryla
ja panna śmieję się
imion mam tyle
ile wierszy już przez palce przeciekło
nikt nie powie
przeszła sama siebie
a tu eudajmonia
i życie wygrane
między mną a tobą

JERZY WILMAŃSKI

TYLKO SŁOWA SŁOWA SŁOWA

Gdzie są te słowa
co się z nimi stało
ciągle w pogoni — i co będzie potem
Śpiewała Hanka
„Jak zeschłe liście
rozwiał je wiatr po świecie"

Ci starzy literaci
toczą spory o słowa
mówią lirycznie
a przecież jest zwyczajnie
i komar czasem utnie w samym środku lasu

Stuk słowa o bruk
potem w przypomnieniu
biegnie na spotkanie
pierwszej mojej miłości
artykułu Profesora
wikła się w dramat

mądrość
pestka słowa

MIECZYSŁAW KUCNER

WIERNOŚĆ NA PRÓBĘ

Wierność prób zaprzeszłych
gdzie tyle świateł zgasło
czas dany poecie
przywróci płomień rzeczy
w strugach pamięci
między nocą a dniem
ścieżkami pytań
które — jak chleb podniesiony

Tak zwierciadło ostateczności
odbija przedmioty
groblę mrocznej esencji
ontologii kępy
praźródła substancji

Wierność — nieprzekupne jestestwo

DZIADZIUŚ Z PODUSZKĄ

Wysoki głos kobiecy nuci: „Ach, przyjdź kochanku mój" itd. Od czasu do czasu psyka gorące żelazko, do którego przyłożono wilgotny palec. Głośny dzwonek do drzwi przerywa nucenie i odgłosy prasowania. Kroki kobiece, otwieranie drzwi.

Ona: Ach! To pan?! Wyśpiewało się...

Sąsiad: (lekko zadyszany) Ja właśnie... Tego... Tu do pani... żeby...

Ona: Niech pan nic nie mówi. Wiem wszystko. Wy, mężczyźni nie doceniacie kobiecej intuicji. Proszę wejść.

Sąsiad: (zażenowany) Kiedy ja tylko... Sam nie wiem jak zacząć... Niezręcznie jakoś mi powiedzieć pani...

Ona: Rozumiem, rozumiem... Trudno jest przełamać te wewnętrzne opory, ten balast obyczajowy wpojony w nas od oseska wraz z tak zwanymi dobrymi manierami. Ja, proszę pana, dużo czytuję. Otóż w pewnym podręczniku wyczytałam, że uczeni wyhowali szopa pracza, który wstydził się swojej nagości. A przecież sama sprawdzałam w ZOO (chichocze) futerko mu prawie wszystko zakrywa. A jednak przyszedł pan tutaj. Upaja mnie pańska odwaga...

Sąsiad: Kiedy ja... Właściwie tylko patrzyłem i...

Ona: Wiem. I o tym wiem doskonale. Często z okna pana naprzeciwko nago, czułam na sobie gorące spojrzenie. Czasem, ach rumienię się na samo wspomnienie, nawet... w czasie mej szwedzkiej gimnastyki czułam żar tego wzroku. Sądził pan zapewne, że jest niewidoczny. Ach, ta męska niezręczność! (śmieje się kokieteryjnie). Lecz zdradzały pana wąsy wystające zza firanki...

Sąsiad: (rozpaczliwie). Kiedy ja muszę pani powiedzieć.

Ona: Niech pan nic nie mówi. Wiem wszystko. I ja też... (Szeptem ze wstydem) obserwowałam pana zza firanki. I dużo, dużo wiem o panu. I to, że pan taki sam, ciągle sam, i że śpi pan w furażerce, i że ciało ma pan takie bialutkie, i to, że nawet w lecie nosi pan ciepłą bieliznę... Ja też o ciało dbam. I na czarnomorskiej plaży nie będzie się pan musiał za mnie wstydzić. Zresztą, o! Proszę tylko spojrzeć!

Sąsiad: (rozpaczliwie próbuje jej przerwać). Ależ ja muszę...

Ona: (przerywa) Musimy. To fatum... to przeznaczenie... Ja też sama... samiutka... z dziadziusiem tylko żyję... Ale dziadziuś spokojny, cały dzień tylko przez okno wygląda, oparty o swoją kolorową poduszeczkę.

Sąsiad: (radośnie) Nie, proszę pani! Już nie!

Ona: (zdziwiona) Co nie?

Sąsiad: Już nie wygląda. (szybko z ulgą) Właśnie przyszedłem pani powiedzieć, że z okna u państwa wypadła najpierw kolorowa poduszeczka a zaraz potem starszy pan z siwymi wąsami, jak sadzę wspomniany dziadziuś. No to ja tego... Uszanowanie pani.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 110. W-2.